



**DEBORAH M. NIGRO**



**DLA DOBRA  
DZIECKA**

## ROZDZIAŁ 1

- Dość już o moim rozwodzie i całym tym nieprzyjemnym zamieszaniu. - Śmiech Bruce'a Conti zabrzmiał sztucznie. - Opowiedz mi o sobie, Liso! Czym się zajmujesz?

Młoda kobieta siedząca naprzeciw niego niechętnie oderwała wzrok od oświetlonej purpurowo fontanny na środku sali. Uśmiechnęła się przeprasząco.

- Przepraszam, Bruce... Co mówiłeś?

- Och, nic istotnego. Chciałem tylko zauważyć, jak podniecająco działa na mnie twój wyzywający dekolt. Jestem pewien, że każdy mężczyzna na tej sali mi zazdrości...

- Bruce, nie tak głośno! A w ogóle możesz sobie darować swoje kpiące uwagi. - Lisa obdarzyła go pełnym wyrzutu spojrzeniem. Jednak gdy zobaczyła szelmowskie błyski w oczach szwagra, nie mogła już dłużej zachować powagi. - Jesteś po prostu niepoprawny, Bruce - powiedziała ze śmiechem.

- No, w każdym razie nosisz swoją kreację z niezwykłą gracją, to trzeba ci przyznać. A ten kolor jest naprawdę podniecający. Jak nazywa się ten ekscentryczny odcień?

- Beż, mój drogi. - Lisa popatrzyła ze śmiechem na swoją skromną suknię z jedwabiu. - Czy wolno mi zapytać, czym sobie zasłużyłam na te sarkastyczne uwagi?

- Przemieniłaś się w niepozorną szarą myszkę, Liso. Ty, która zawsze nosiłaś najbardziej krzykliwe kolory i najbardziej ekstrawaganckie modele. Żadna kreacja nie była dla ciebie zbyt śmiała czy za bardzo rzucająca się w oczy. Co cię tak bardzo odmieniło, Lee?

- Lee... Wiesz, jak dawno nikt tak na mnie nie mówił? Ty i Dominik, tylko wy obaj używaliście tego zdrobnienia. - Lisa na moment zamknęła oczy.

- Jeśli ci to przeszkadza...

Potrząsnęła w milczeniu głową. - Dlaczego miałoby mi przeszkadzać? Jesteś bardzo podobny do Dominika, nie tylko fizycznie. - Lisa zdawała się przenikać go wzrokiem.

- Co się z tobą dzieje? Twoje myśli błądzą daleko stąd. - Skrzywił się jak małe dziecko. - Wiem, że nie jestem dziś miłym rozmówcą, a moje towarzystwo na pewno nie jest podniecające, ale...

- To nie ma nic wspólnego z tobą, Bruce. Przykro mi, że jestem taka mało rozmowna. Przez cały czas myślę o jutrzejszym spotkaniu. To dość zawikłana sytuacja. Macocha sieroty chce zaadoptować dziecko zmarłego męża. Szwagier, wuj dziecka, u którego mała mieszka od śmierci ojca, również domaga się prawa do opieki. Macocha wniosła pozew przeciwko swemu bogatemu powinowatemu z wyższych sfer. Mnie przypada niewdzięczne zadanie sprawdzenia tego mężczyzny i jego nastawienia do dziecka.

- Proszę, proszę. Ludzie z tej warstwy społecznej nie należą chyba do klientów waszej agencji. W tych kręgach takie sprawy załatwiają przeważnie adwokaci obu stron. Jak to się stało, że ta sprawa dotarła do was?

- Sama zadaję sobie to pytanie. - Lisa skinęła z zastanowieniem. - Jedyne wyjaśnienie, jakie znajduję, jest takie, że macocha chce aby jego nazwisko znalazło się w prasie w związku z procesem. - Wzruszyła ramionami. - Inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

- Zawarłaś już znajomość z tą macochą?

- Osobiście jeszcze nie. Jej prawnicy prowadzili ze mną rozmowy telefoniczne w jej imieniu. Poza tym mam mnóstwo materiału na piśmie, podpisanego przez nią,

- Ta dama zdaje się łapać wszelkich środków. - Bruce spróbował swojej polędwicy. - Hm... Pycha!

- Po tym wszystkim, co słyszałam na temat jej przeciwnika, musi także uważać, by nie pozwolić sobie na jakąkolwiek słabość.

- A w jaki sposób ten przypadek dostał się właśnie tobie?

- Nie tylko szlachectwo zobowiązuje, wykształcenie też. Moja przełożona stwierdziła, że nasz klient prędzej zaakceptuje mnie ze względu na moje studia w renomowanym Gordon Thatcher College, niż kogoś, kto zrobił dyplom w jednej z licznych mało znaczących uczelni.

- Zaśmiała się. - Chociaż ja bez stypendium nigdy nie przeskoczyłabym z klasy robotniczej do klasy z wykształceniem akademickim.

- Mimo to byłaś najśłodszym pisklęciem na swoim roku, jak określił to Dom, gdy pierwszy raz cię zobaczył.

Lisa uśmiechnęła się z trudem. Jej atrakcyjny szwagier był tak podobny do swego zmarłego brata, że czasem sprawiało jej ból, gdy na niego patrzyła lub słyszała jego głos i śmiech. Tak samo jak Dominik. Bruce był wysoki, szczupły i przystojny. Jego opalona cera, pełne wyrazu brązowe oczy i czarne włosy nadawały mu uroczy południowy wygląd, dziedzictwo włoskich przodków. Jednak Bruce poprzez kosztowne, przesadnie eleganckie ubrania podkreślał swoje naturalne zalety w taki sposób, w jaki nigdy nie czynił tego Dominik. - Jesteś balsamem dla mojego nadszarpniętego ego, Bruce - zauważyła cicho. - Jak miewa się ojciec?

- Myślę, że tata już się trochę pozbierał. Prosił, żeby cię pozdrowić, ;t mama zaprasza cię w niedzielę na obiad, na saltimbocca, twoje ulubione danie.

- Na pewno nie przepuszczę takiej okazji. Powiedz mamie, że dziękuję za zaproszenie i na pewno przyjdę.

Bruce skinął. - Z mojego towarzystwa będziecie musieli w ten weekend zrezygnować. Jadę jutro na Florydę. Chcę zostać lampare dni, by dojsć do siebie i zastanowić się, jak urządzę sobie życie bez Marilyn.

- Spuścił głowę i jadł przez chwilę w milczeniu.

- Przykro mi, Bruce, że wsadzam palce w otwartą ranę. Marylin zapewne popełniła błędy, ale na pewno nie była ci niewierna... w tej kwestii oskarżasz ją niesprawiedliwie.

- Nie próbuj jej bronić, Lee! - Głos Bruce'a brzmiał twardo i gorzko.

- Wżeniła się w naszą rodzinę dla pieniędzy. Dostała swój udział. W porządku, Marilyn była szczerą. Nigdy nie kryła, jak bardzo kocha luksus. Z tym mógłbym się pogodzić, ale czy musiała koniecznie upierać nic przy tej swojej pracy?

Lisa odwróciła wzrok pod jego pytającym spojrzeniem. Ostra uwaga Bruce'a, by nie broniła Marilyn, dotknęła ją bardziej, niż mógł przypuszczać. Wargi jej drżały, rozpaczliwie walczyła z napływającymi łzami. Ukradkiem otarła oczy. Czyż ona była choć odrobinę lepsza od Marilyn? Byłaby ostatnią, która dałaby sobie prawo oskarżania kobiety poślubiającej mężczyznę z powodu pieniędzy i otwarcie się do tego przyznającej! Marilyn ani przez sekundę nie oszukiwała swojego męża co do prawdziwych motywów swojego postępowania, ale ona sama... Czyż ona nie była bardziej niemoralna niż eksmałżonka Bruce'a? Czyż nie była tysiąc razy bardziej wyrachowana? A ten nieśmiały młody dziedzic ogromnej firmy budowlanej bez oporu dał się jej

omotać. Dominik ani przez moment nie przypuszczał, że uczucia jego czulej narzeczonej mogłyby być tylko udawane...

- W winie jest prawda i zapomnienie, Lee. - Bruce podniósł swój kieliszek.  
- Napijmy się.

Lisa w milczeniu podniosła kieliszek i wypła. - Musisz spróbować - powiedziała potem bardziej do samej siebie niż do Bruce'a - nauczyć się na swoich błędach, tylko wtedy uda ci się odkreślić przeszłość i znaleźć odwagę, by zacząć życie od nowa,

- Czy ty zastosowałaś się do tej recepty, Lee? Czy potrafiłaś wymazać wspomnienia? A może dlatego zawsze pracujesz aż do wyczerpania, by nie mieć czasu na zastanawianie się?

Lisa nie odpowiedziała.

Bruce skinął. - Wszelkie teorie są do niczego, praktyka zawsze wygląda zupełnie inaczej. - Bruce zamówił sobie whisky. - Wiesz, co szczególnie w tobie cenię, Lee? Nigdy nie robisz mi wyrzutów, gdy piję. - Opróżnił szklanę jednym haustem.

Lisa popatrzyła na niego uważnie. - Czy wyrzuty coś by zmieniły?

Potrząsnął głową.

- Jaki więc miałyby sens? - Lisa uśmiechnęła się.

- Żadnego, moja piękna i mądra bratowo. Nie za bardzo ci się tu podoba, mam rację?

- Jedzenie i trunki są poza wszelką krytyką, ale przeszkadza mi ten wystrój. Wszystkie te sztuczne złocenia, czerwony plusz, różowe lampki, obsługa w superkrótkich spódniczkach i skąpych bluzkach, które więcej odkrywają niż zakrywają... Wybacz, że wyrażę to tak drastycznie, ale wydaje mi się, jakbym siedziała w orientальnym domu publicznym.

Bruce spojrział na nią rozbawiony. - Skąd dobrze wychowana młoda dama wie, jak wygląda ... burdel?

- Jak miliony innych ludzi włączam czasem mój telewizor. Ale mogę wyrazić swoją dezaprobatę inaczej, bardziej feministycznie: atmosfera tego przybytku jest duszna i wyraźnie seksistowska.

- Do licha! Od kiedy zaliczasz się do Ligi Kobiet? - Bruce wypił kolejną whisky.

- Moje życie zmieniło się, odkąd jestem sama... Ja się zmieniłam, Bruce. Mam nadzieję, że nie żałujesz tego pytania, jak mi się tu podoba?

- Absolutnie nie. Po wszystkich tych kłamstwach, którymi mamiała mnie Marilyn, odbieram twoją otwartość jako ożywczo uczciwą.

Lisa z zawstyżeniem spuściła głowę. Także Bruce dał się złapać na jej fałszywą grę, także on dał się zwieść, jak jego młodszy brat Dominik i cały klan Contich, który tak serdecznie i bez zastrzeżeń przyjął ją do swego grona.

„POLO - dzisiaj o godzinie 14.00”. Lisa, marszcząc czoło, przeczytała ręcznie napisaną kartkę, którą ktoś przyczepił do drzewa przy wjeździe do Klubu Myśliwskiego. Nerwowo spojrzała na zegarek. 13.30. Westchnęła. Powinna właśnie siedzieć z Jeremym Winthropem w sali klubowej, ale najpierw zatrzymano ją w biurze, a potem utknęła w korku.

- Pan Winthrop - wyszedł o 13.45 i udał się na miejsce gry - poinformował ją pół godziny później kelner, wskazując drogę przez las sosnowy.

„Podejdz do tego przypadku jak do każdego innego. Merytorycznie niczym nie różni się on od naszych normalnych zadań”, zabrzmiały jej w uszach słowa Marty Reilly, jej przełożonej. Marcie dobrze było mówić. Z każdym metrem przybliżającym ją do miejsca gry w polo znikało trochę jej i tak niezbyt dużej pewności siebie. Dopiero od roku wykonywała swój zawód kuratora w sprawach dotyczących opieki nad dziećmi i jak dotąd klienci, którymi się zajmowała, pochodzili z zupełnie innych kręgów niż ten Jeremy Winthrop. Były to przeważnie rodziny robotnicze, których dochód utrzymywał się na granicy minimum socjalnego.

Lisa odstawiła swojego niebieskiego forda escorta na parking i wysiadła. Rozejrzała się niepewnie. Zanim jeszcze dotarła do pola gry, usłyszała już krzyki graczy, rzenie koni i doping widzów.

Zaciekawiona podeszła bliżej i oparła się o barierkę blisko miejsca gry. Biała piłka poszybowała w powietrzu i wylądowała tuż przed nią w miękkiej trawie. Pięciu mężczyzn galopowało w szalonym pędzie w jej stronę na swoich kucach. Lisa krzyknęła z przerażenia, na co jeden z koni stanął dęba. Usłyszała jeszcze, jak gracz z numerem trzecim mruknął coś o przeklętych idiotach wśród widzów i po chwili cały tumult równie szybko się oddalił.

Odetchnęła głęboko, poprawiła okulary przeciwsłoneczne i z mieszanymi uczuciami skierowała się w stronę dużego białego namiotu, rozbitego przy polu gry. Jeśli będzie miała szczęście, powinna spotkać tam Jeremy'ego Winthropa. Musiała uczciwie przyznać, że obawia się tego spotkania. Czy może traktować tego mężczyznę jak każdego innego klienta, skoro jego wpływy sięgają tak daleko, że mógłby zagrozić egzystencji jej małej agencji? Mimowolnie potrząsnęła głową. Nie, obojętne, co sądzi na ten temat Marta, ona podejdzie do sprawy delikatnie i przeprowadzi swoje badania z największą dyskrecją i ostrożnością.

Weszła do namiotu i dyskretnie przyglądała się twarzom rozbawionych mężczyzn.

- Dzień dobry. Pani chyba jest tu pierwszy raz - zabrzmiał nagle za jej plecami dziecięcy głosik. Lisa drgnęła i odwróciła się gwałtownie. Przed nią stała drobna dziewczynka w wieku jakichś siedmiu lub ośmiu lat.

- Och, proszę mi wybaczyć. Nie chciałam pani przestraszyć. - Para błękitnych oczu patrzyła na nią bojaźliwie.

Lisa mimowolnie uśmiechnęła się. W ustach tego dziecka poważne sformułowania brzmiały jak zdania wyuczone przez papugę. - Nie przestraszyłaś mnie tak naprawdę, moja mała. Byłam tylko myślami gdzie indziej. - Uśmiechnęła się, patrząc na twarzyczkę okoloną dwoma dokładnie splecionymi jasnymi warkoczami. - I masz rację, rzeczywiście jestem tu pierwszy raz. Nigdy przedtem nie oglądałam gry w polo.

Oczy dziecka rozbłysły, a policzki zarumieniły się lekko. - Skoro nie zna pani zasad, to czy... czy mogę je pani wyjaśnić? - spytała mała, podchodząc bliżej.

- Chętnie przyjmę tę ofertę. Może usiądziemy tam na ławce? - Wskazała na skraj pola gry, gdzie stały ławki dla widzów. Mała skinęła i podbiegła do ławki. Zatrzymała się jednak i poczekała, aż Lisa usiądzie.

- Siadaj. - Lisa wskazała jej miejsce obok siebie. - Bardzo jestem ciekawa zasad gry w polo. Jak ci na imię?

- Nazywam się - mała zawahała się na moment - Chrystal. - Wyciągnęła rękę do Lisy. - Cieszę się, że mogę panią poznać.

Lisa stłumiła uśmiech i uścisnęła rękę dziewczynki. - A ja nazywam się Lisa. Miło mi, że się poznałyśmy, Chrystal - powiedziała poważnie. - Jesteś tu sama?

Dziewczynka westchnęła głęboko. - Tak. Ale nie musi mi pani współczuć z tego powodu.

Lisa udała, że kaszle, by ukryć śmiech. - Jak widzę, jesteś już bardzo samodzielną młodą damą.

- Więc pani też się ze mnie śmieje. - Mała popatrzyła na nią z widocznym przygnębieniem. - Wszyscy się ze mnie śmieją.

- Nie sędzę, Chrystal. Myślę raczej, że ludzie są zdziwieni i zaskoczeni, kiedy taka mała dziewczynka tak dorośle z nimi rozmawia.

- Naprawdę pani tak sędzi? - Nieśmiały uśmiech rozjaśnił poważne rysy dziecka. - Myśli pani, że dlatego się śmieją?

Lisa skinęła. - Tak sędzę. Jesteś jednym z tych mądrych dzieci, których ciało nie rośnie tak szybko, jak umysł.

Na drobnej twarzączce dziewczynki odmalował się wyraz ulgi. - Och, rozumiem.

- Ile masz lat, Chrystal?

- Osiem i pół... prawie. Ale proszę mówić do mnie Chris. Wszyscy tak mnie nazywają, A ile pani ma lat, Liso?

- Dwadzieścia cztery i pół.

- To już dość sporo. Ale jest pani ładna. - Dziewczynka przyjrzała się Lisie.  
- Nie taka ładna, jak Viviane...

Reszta zdania została zagłuszona przez oklaski widzów.

- Niech pani popatrzy tam, Liso! Mój wujek znowu trafił. W tym sezonie jest najlepszym graczem w drużynie. - W spojrzeniu dziecka widniała duma.

- Który z graczy jest twoim wujkiem, Chris?

- Ten na czarnym kucyku, numer trzy. Właśnie zdejmuje kask. Lisa przyjrzała się mężczyźnie, którego wskazywała dziewczynka.

- Tu jestem, wujku Jeremy! - Podniosła ręce i machała podniecona. Lisa wstała. Jej spojrzenie krążyło między dzieckiem a mężczyzną na kucyku.

- Co się stało, Liso? Chce pani już iść? Gra się nie skończyła. Zostały jeszcze dwie rundy.

- Nie bój się, Chris, zostanę tu trochę. Pomyślałam tylko, że dobrze by nam zrobiło coś orzeźwiającego. Co powiesz na to, żebyśmy sobie kupiły lody w namiocie?

- Och, przykro mi, Liso, ale między posiłkami nie wolno mi jeść żadnych słodyczy. Mój wujek bardzo zwraca na to uwagę. Ale mimo to bardzo dziękuję za tę propozycję. - Dziewczynka zaczęła wymachiwać szczupłymi rączkami. - Wujku Jeremy! Wujku Jeremy! Tu jesteśmy! Czyż on nie jest szalenie przystojny, Liso? Liso...?

- Tak... Twój wujek jest pięknym mężczyzną - mruknęła Lisa. I to była prawda. Jeremy Winthrop był niezwykle atrakcyjnym młodym mężczyzną. Szczupły i wysoki, o wysportowanej sylwetce, z czarnymi, krótko obciętymi włosami i opaloną twarzą wyglądał, przynajmniej z daleka, jak model z żumala.

- Nie pomachał do mnie - zasmuciła się Chrystal, opuszczając ręce.

- Bo nie mógł usłyszeć twojego głosu w tej wrzawie - pocieszyła ją Lisa.



- Czesze mnie co rano i zaplata mi warkocze - powiedziała dziewczynka cicho, jakby chciała upewnić się, że jest wystarczająco zauważana. - No, gra się znowu zaczyna! Niech pani patrzy, Liso! - Cała uwaga dziecka skupiła się ponownie na przebiegu gry.

RS

## ROZDZIAŁ 2

A więc to jest Karolina Winthrop, sierota, z powodu której Lisa przyjechała do Hamiltonu w stanie Massachusetts. Lisa przyglądała się dziewczynce, która z niewiadomych powodów przedstawiła się jako Chrystal. Łatwo byłoby trochę ją wypytać. Lisa szybko odrzuciła tę kuszącą myśl. Nie chciała chwycić się takich środków. Takie postępowanie nie byłoby uczciwe wobec Jeremy'ego Winthropa.

Po rozmowie z wujem zostanie jej jeszcze dość czasu na pogawędkę z dziewczynką. Mogła więc w spokoju poświęcić się „Chrystal” i zadać jej kilka ostrożnych pytań.

- Wygrali, Liso! Nasz klub zwyciężył! Dostaną puchar! Czy to nie jest wspaniałe? - Karolina promieniała zachwytem.

- Wspaniale - zgodziła się Lisa. Wśród jeźdźców cały czas wypatrywała numeru trzy. - Drużyna twojego wujka musi składać się ze wspaniałych graczy.

- To prawda. - Karolina przytaknęła z zapałem. - Ale niech pani szybko idzie ze mną. Zobaczymy z bliska, jak wujek Jeremy odbiera puchar. - Wzięła Lisę za rękę i pociągnęła ją w stronę trybuny, gdzie miało się odbyć wręczenie nagrody.

Lisa poszła za dziewczynką z mieszanymi uczuciami. Wolałaby poczekać gdzieś z tyłu i z daleka obejrzeć oficjalną ceremonię. Nie leżało ani w jej interesie, ani Jeremy'ego Winthropa, ani też Karoliny, żeby ktoś zobaczył, iż dziecko zawarło z nią swego rodzaju przyjaźń.

Lisa ostrożnie uwolniła dłoń. Dziewczynka podniosła głowę, patrząc na nią pytająco. Gdy Lisa nadal milczała, po twarzy dziewczynki przemknął cień. Odsunęła się trochę od Lisy;

Lisa z zaciekawieniem przyglądała się Jeremy'emu Winthropowi. Naprawdę był niezwykle przystojny. W szarych oczach widniało opanowanie i inteligencja. Jego delikatne rysy wykazywały podobieństwo do rysów Karoliny, ale w przeciwieństwie do przerażającej bladości dziewczynki jego twarz była opalona na brązowo.

Jego głos brzmiał ciepło i miło, gdy dziękował za otrzymane trofeum. Nie mówił szczególnie głośno, ale widać było, że jest przyzwyczajony do występowania przed dużym audytorium. Wydawał się niezwykle pewny siebie; jego tytuł szlachecki, majątek i pozycja były tylko potwierdzeniem naturalnego autorytetu.

Gdy widzowie składali mu gratulacje, Karolina precyzyjnie się szybko do niego. Czekala cierpliwie, aż znalazł dla niej chwilę i obdarzył ją chłodnym uśmiechem, gładząc ją przy tym po włosach. Powiedział coś do dziewczynki. Lisa jednak była zbyt daleko, by go usłyszeć. Zobaczyła tylko, jak Karolina skinęła, odwróciła się i poszła w stronę kucyków.

- Panie Winthrop! - Lisa zdobyła się wreszcie na odwagę, by go zawołać.

- Słucham. - Odwrócił się do niej i patrzył na nią spod uniesionych brwi. - Mogę pani w czymś pomóc?

- Pozwoli pan, że się przedstawię... Nazywam się Conti. Lisa Conti, byliśmy umówieni. Przepraszam za spóźnienie, ale zatrzymano mnie w pracy, a potem utknęłam w korku. Mam nadzieję, że nie gniewa się pan na mnie za tę niepunktualność.

- Ależ skąd! I tak pojechałbym do klubu z powodu meczu. Sądziłem jednak, że załatwimy naszą rozmowę w kwadrans. O ile jestem dobrze poinformowany, pani wizyta jest czystą formalnością, bo nie jestem jeszcze prawnym opiekunem Karoliny. - Obojętnie wzruszył ramionami, przyglądając się, jak chłopiec stajenny wyciera czarnego kuczka słomą.

Karolina przyszła z powrotem. - Och, jaka szkoda. Widzę, że już poznałeś Lisę, wujku Jeremy. A tak chciałam was sobie przedstawić.

- Sama mi się przedstawiła.

- Lisa i ja rozmawialiśmy w czasie gry.

- O czym? - spytał ostro i obrzucił Lisę gniewnym spojrzeniem.

- O zasadach gry w polo i o panu - odpowiedziała Lisa zamiast Karoliny.

- Lisa uważa, że jesteś piękny.

- Tak tego nie powiedziałam, Chrystal. - Lisa zaczerwieniła się. Jednak Jeremy Winthrop zdawał się nie zauważać jej zmieszania.

- A kto to niby jest „Chrystal”? Popatrzył surowo na dziewczynkę, która zadrżała pod jego spojrzeniem.

- Ja... ja... - Karolina nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jej i tak blada buzia stała się kredowobiała.

- Sądzę, że wymyśliła sobie imię Chrystal dla zabawy - przyszła jej z pomocą Lisa. - Wszystkie dzieci tak robią.

- Będzie pani uprzejma pozostawić mi tę sprawę do załatwienia z moją bratanicą, panno Conti - upomniał ją chłodno. - Zabroniłem jej nadawania sobie zmyślonych imion i oczekuję, że Karolina będzie się stosować do moich poleceń.

Jednak Lisa nie dała się tak łatwo zastraszyć. - Ależ to jest typowo dziecięce zachowanie - powiedziała.

Stali teraz twarzą w twarz. Lisa czuła, jak Jeremy niemal przewierca ją chłodnym, prawie nienawistnym spojrzeniem. Cofnęła się o krok.

- Pani wysiłki mediatorskie między mną a Karoliną są nie tylko niepotrzebne, panno Conti, są także - przykro mi, że muszę to powiedzieć wprost - niepożądane. A przede wszystkim niech pani zostawi Karolinę w spokoju!

- Wujku Jeremy, proszę, nie wolno ci tak odnosić się do Lisy. Ona jest naprawdę miła, a ja...

- Myślę, że lepiej będzie, jak pójdziesz teraz z panią i panem van Home do domu, Karolino.

- Nie! Nie chcę! - Karolina zacisnęła dłonie w pięści. Jej łagodną twarzyczkę wykrzywił grymas złości. - Nienawidzę cię! - krzyknęła.

- Karolino, natychmiast masz przeprosić.

- Nie! - Dziewczynka tupnęła nogą. - Nie! Nie! Nienawidzę...

- Karolino!

- Ja... Przepraszam, wujku Jeremy. - Łzy stanęły jej w oczach. Spojrzała błagalnie na Lisę, a potem odwróciła się bez słowa i pobiegła przez pole.

Lisa, która niezamierzenie spowodowała całe zajście, miała uczucie, że musi się usprawiedliwić. - Mam nadzieję, że nie przywiązuje pan zbyt dużej wagi do niewinnych, dziecinnych fantazji Karoliny - zaczęła.

- Nie uważam tych fantazji za takie niewinne, panno Conti.

- Pani Conti.

- A więc pani Conti. Niech pani nie sądzi, że moja bratanica nic sobie przy tym nie myśli, nadając sobie inne imię. Karolina nie jest głupia...

Lisa skinęła. - Jest małą, mądrą osobką i bardzo uroczym, wrażliwym dzieckiem.

- Jest córką mojego brata i przypomina go czasami w taki sposób, że przejmuje mnie to zgrozą - Rysy Jeremy'ego wygładziły się, na jego wargach pojawił się uśmiech. - Proszę mi wybaczyć, że byłem niegrzeczny, pani Conti. Jeśli to pani odpowiada, dokończymy naszą rozmowę w klubie. Mogę jeszcze wygospodarować parę minut.

- Obawiam się, że nie da się tego zrobić w parę minut. Musi pan poświęcić na naszą rozmowę trochę więcej czasu, panie Winthrop. Proponuję, żebyśmy umówili się na ponowne spotkanie w dniu, gdy nie będzie pan miał tak mało czasu.

Uśmiech na twarzy mężczyzny zamarł. - Nie pojmuję, dlaczego kilka śmiesznych formalności wymaga takiego nakładu czasu. Co ja niby mam zrobić? Wypełnić i podpisać kilka papierków, żeby moja opieka była prawomocna.

- Zapomina pan, że wdowa po pańskim bracie, pani Viviane Monteith, również rości sobie prawa do opieki nad pańską bratanicą i powołuje się na ostatnią wolę zmarłego męża.

- Moja bratowa najwidoczniej nie cofnie się przed niczym, by dorwać się do dziedzictwa tego biednego dziecka. Może mi pani wierzyć, pani Conti, w testamencie mojego brata nie ma ani słowa o tym, że chciałby pozostawić Karolinę pod opieką Viviane. A roszczenia Viviane zostały zaspokojone znaczną gotówką, którą mój brat jej zapisał. Mój adwokat zatroszczył się o to.

- Przykro mi, panie Winthrop, ale obawiam się, że niewiele pan wie o aktualnym stanie sprawy. Pani Monteith chce wnieść przeciwko panu skargę. Jest zdania, że pańska opieka nie jest najlepsza dla Karoliny.

- Typowe dla Viviane! - Jeremy nie potrafił już dłużej ukrywać złości. - Próbuje mnie zastraszyć i przysłała mi w tym celu na kark kuratora z agencji do spraw opieki. Jakby nie wiedziała, że ja jestem w lepszym położeniu. Niech pani mnie źle nie zrozumie, pani Conti. To nie jest żaden atak na panią osobiście. W żadnym razie nie wątpię w pani intencje ani kwalifikacje, ale przeciwko moim prawnikom nie ma pani najmniejszej szansy, gdyby doszło do postępowania sądowego.

Lisa wyprostowała się. - Pańskie wpływy są mi doskonale znane, panie Winthrop. Ale pańskie stanowisko nie zmienia niczego w fakcie, że pańska bratowa jest macochą Karoliny i opiekowała się dzieckiem od swojego ślubu do śmierci męża. Jej zdaniem okazywał pan w tym czasie bardzo niewielkie zainteresowanie dzieckiem.

- Viviane najwidoczniej skutecznie nastawiła panią przeciwko mnie.

- Nie jest moim zadaniem stawanie po czyjejkolwiek stronie. Zbieram jedynie fakty, które później składam razem jak puzzle. I to jest powodem mojej wizyty tutaj. Aby zbadać prawdziwość twierdzeń pani Monteith, muszę postawić panu kilka pytań, panie Winthrop. Pytań dotyczących wychowania Karoliny, warunków jej życia i tego, czy ma wystarczającą opiekę podczas pana nieobecności.

Jeremy zmrużył oczy. - Co zarzuca mi Viviane? Jak brzmią najistotniejsze punkty jej oskarżenia?

- Obwinia pana o zaniedbywanie dziecka.

- Śmieszne! - Potrząsnął głową. - Na jakiej podstawie?

Lisa obserwowała go uważnie. Nie była pewna, jak ma ocenić Jeremy'ego Winthropa. Czy rzeczywiście jest taki oburzony i dotknięty, czy tylko przed nią udaje?

- Chciałbym mieć jakieś bliższe dane. - Skrzyżował ramiona na piersi i świdrował Lisę wyzywającym spojrzeniem.

- Dobrze, panie Winthrop, pańska bratowa obawia się na przykład, że kształcenie Karoliny nie jest odpowiednie, odkąd pozostaje pod pańską opieką.

- Ach, rozumiem. Ale może być pani spokojna, Karolina nie wyrośnie na analfabetkę. Zapisalem ją do Akademii Świętej Małgorzaty w Vermont, będzie tam przebywać w internacie od lutego. Uważałem za właściwe zatrzymanie jej przy sobie, aż w pewnym stopniu przezwycięży szok po nagłej śmierci ojca.

- To brzmi rozsądnie. A jak wygląda opieka w pańskim domu? Czy Karolina często jest przez dłuższy czas sama?

- Naturalnie nie mogę być z nią przez okrągłą dobę, bo interesy wymagają mojej obecności. Gdy jestem w domu, oczywiście zajmuję się dzieckiem, ale nawet podczas mojej nieobecności Karolina nigdy nie jest pozostawiona sama sobie. Pan i pani van Home, zarządzający naszym domem, sprawują nad nią opiekę.

Lisa wyjęła notes i zapisała kilka rzeczy.

- Poszukuję bony czy wychowawczyni, którą chciałbym zatrudnić na stałe. Państwo van Home nie są już młodzi i z pewnością opieka nad dzieckiem w wieku Karoliny przerasta ich siły.

Lisa skinęła tylko t znowu zrobiła notatki.

Jeremy obserwował ją nieufnie. ~ Proszę mi wybaczyć, ale jestem już spóźniony, pani Conti. Przy najszczerszych chęciach nie mogę pani poświęcić więcej czasu. Jeśli potrzebuje pani dodatkowych informacji, proszę się zwrócić do mojej prawniczki, Doris Fontaine. Powiem jej, żeby skontaktowała się z pani firmą.

- Otrzyma pan pozew. Viviane Monteith żąda publicznego procesu... jeśli dobrowolnie nie odda jej pan Karoliny.

- To tylko czcze pogrożki.

- Obawiam się, że nie uświadamia pan sobie w pełni powagi sytuacji, panie Winthrop. Nie chcę pana łudzić. Nie uniknie pan moich pytań. Punkt po punkcie musi pan zająć stanowisko co do oskarżeń pańskiej bratowej. Jeśli

pan odmówi, to nie widzę szans, żeby przyznano panu prawo do opieki nad Karoliną. Niech pan zrozumie, na panu spoczywa ciężar dowodu. Jeśli chce pan zatrzymać dziecko, powinien pan spróbować odeprzeć zarzuty, które podnosi przeciw panu macocha Karoliny. To pan musi przekonać naszą agencję, że nadaje się pan do sprawowania opieki, inaczej nie będziemy mogli podjąć się tej sprawy.

- Viviane nie ma najmniejszego dowodu przeciwko mnie.

- Jestem innego zdania, panie Winthrop. - Lisa zamknęła notes i włożyła go z powrotem do torebki. Spojrzała na Jeremy'ego.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Niech pani zgłosi swoim przełożonym, że odmawiam jakiegokolwiek odpowiedzi na te natarczywe pytania. Jeśli chce pani zaspokoić żądę posiadania Viviane i wystawić Karolinę i naszą rodzinę na widok żadnej sensacji opinii publicznej, to niech pani pomyśli, że mój bank w każdej chwili i bez żadnego uzasadnienia może zlikwidować dotacje dla pani agencji! - jego głos brzmiał spokojnie, ale słowa wyrażały jawną groźbę. - Myślę, że wyraziłem się wystarczająco jasno.

Lisa poczuła, że narasta w niej wściekłość. - Sądzi pan, że groźby są odpowiednimi argumentami? Jeśli obetnie nam pan fundusze, dopiero zwróci pan uwagę opinii publicznej na tę sprawę. Viviane Monteitb i tak będzie walczyć o legalną adopcję dziecka, tego faktu nie powinien pan ani na sekundę tracić z oczu, panie Winthrop!

Jeremy wsiadł na konia, którego przyprowadził mu chłopiec stajenny. Wyprostował się w siodle i wziął wodze w ręce. - Niech pani zważa na swoje słowa, pani Conti - powiedział cicho. Potem spiął konia ostrogami i odjechał.

Lisa stała jeszcze przez chwilę bez ruchu i patrzyła za nim. Pogrążona w myślach skierowała się w drogę powrotną do miasta. Gdzie popełniła błąd? Słowo po słowie analizowała swoją rozmowę z Jeremym Winthropem. Czy Marcie lepiej by się udało?

Nagle usłyszała za sobą syrenę karetki. Zwolniła i zjechała na prawą stronę. Karetka przemknęła koło niej jak strzała. Lisa wjechała z powrotem na drogę, zastanawiając się, co ma powiedzieć Marcie.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć, Liso. Tak łatwo dałaś się zastraszyć temu facetowi? - Marta potrząsnęła głową i zapaliła papierosa. - Dawałaś sobie radę z gorszymi sprawami. A groźby nie spotykają nas przecież po raz pierwszy! Gdzie się podziała twoja siła przebiccia i optymizmu? Co cię przeraża

w tym mężczyźnie bardziej niż w tych wszystkich zapijaczonych, stosujących przemoc facetach, przeciwko którym tak nieustraszenie występowałaś?

- On jest w stanie roznieść naszą agencję w pył, Marto - odparła Lisa niechętnie. - Bez jego pieniędzy wylądujemy na bruku. Z tymi kilkoma dolarami, które otrzymujemy od państwa, niewiele zdołamy. Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja. - Wypiła łyk kawy z kubka.

- Ależ, dziecino, dokąd byśmy doszli, gdybyśmy robili sobie coś z takich rzeczy? To jest nędzna próba wymuszenia i nie takie pewne, kto tu kogo może roznieść w pył. Ale nie mówmy o tym teraz. Opowiedz mi o dziecku. Jakie sprawia wrażenie?

- Nie wiem dokładnie. Mała jest bardzo rozgarnięta, inteligentna i łatwo nawiązuje kontakt, ale z drugiej strony sprawia wrażenie dziwnie zahamowanej. Jest nieśmiała i przede wszystkim bardzo, bardzo samotna. To jest sprzeczność, której nie umiem sobie wyjaśnić. Swojego wujka Jeremy'ego gorąco kocha, ale równocześnie nienawidzi. - Lisa skrzywiła się. - Nie mogę jej mieć tego za złe, bo ten wuj wydaje się mieć serce z kamienia.

- Ja mam podobne wrażenie, jeśli chodzi o macochę. Chociaż sądzę, że nie tylko powody finansowe wywołują jej zainteresowanie dzieckiem. Jak wygląda ten pan Winthrop?

- Dość atrakcyjnie. Młody, opalony, wysportowany, z figurą jak z klasycznego posągu...

- Do licha. Jest wysoki?

- Dosyć. Chyba jednak nie taki wysoki, jak Dominik...

- Liso, kiedy wreszcie przestaniesz porównywać każdego mężczyznę z Dominikiem? On nie żyje już od prawie dwóch lat. Powinnaś się z tym pogodzić. A może sadzisz, że on chciałby, żebyś wiecznie nosiła po nim żalobę?

- Na pewno nie. - Lisa niepewnie potrząsnęła głową. - Ale ja nie mogę inaczej, Marto.

- W porządku. A teraz na resztę dnia weźmiesz sobie wolne, to jest rozkaz! Wyglądasz na wyczerpaną.

- A sprawa małego Valdeza?

- Może poczekać.

- Nie, Marto. Chcę jeszcze dzisiaj przed końcem pracy wyjaśnić parę kwestii w tej sprawie.

- Rób, co chcesz! - Marta westchnęła. - Co robisz wieczorem? Masz przynajmniej jakieś spotkanie?



- Tak. Z Bruce, moim szwagrem. - Lisa zaśmiała się. - On potrzebuje trochę wsparcia. Bardziej cierpi z powodu swojego rozvodu, niż sam się do tego przyznaje. Ja jestem jego psychologicznym śmietnikiem, do którego może wyrzucić całe swoje zgorzknienie i rozczarowanie, ale także bezsilność i poczucie krzywdy.

- O Boże, to znaczy, że twoja praca nie kończy się po wyjściu z agencji! Rozdajesz bezpłatnie pocieszenie. Dlaczego w końcu nie pomyślisz o sobie, Liso?

- Ale dla mnie to nie jest żadnym obciążeniem...

- I jesteś pewna, że Bruce czuje do ciebie czysto platoniczną sympatię? Zadzwoń! telefon i dzięki temu Lisa uniknęła odpowiedzi. Szybko wykorzystwała okazję, by schronić się w swoim gabinecie i pogрузić w pracy.

Lisa stała przy oknie swojego mieszkania na piątym piętrze wieżowca i patrzyła na zachód słońca. Czekala na Bruce'a, który jak zwykle się spóźniał. Myślami wróciła do przeszłości. Przed oczami miała jak na filmie dzień pogrzebu Dominika. Widziała Flore Conti, matkę Dominika, pochylającą się nad przystrojoną kwiatami trumną i żegnającą się szlochem z synem... i widziała samą siebie, ubraną na czarno wdowę bez śladu łez, która jak skamieniała uczestniczyła w ceremonii.

Pomyślała o czasach swojego małżeństwa z Dominikiem. Był taki cudowny, tak czuły i cierpliwy. Kochał ją bez warunków i zastrzeżeń. Próbowala kochać go w taki sam sposób, starała się ciągle od nowa. Ale daremnie. Oczywiście, ceniła go i podziwiała, ale nie udało jej się pokochać go. Więc by go nie ranić, grała swoją rolę. Udawała przed nim namietność i pożądanie. Nigdy nie zdjęła maski. Nikt nie znał jej prawdziwej twarzy. Swoje rzeczywiste uczucia ukryła pod uroczą czułością, której fałsz sama po pewnym czasie przestała zauważać.

Ale Dominik wydawał się szczęśliwy u jej boku. A jeśli kiedykolwiek zwątpił w prawdziwość jej uczuć, to zachował te wątpliwości dla siebie.

Dzień po pogrzebie prawnik Contich poinformował Lisę, że Dominik zawarł wysokie ubezpieczenie na życie z upoważnieniem dla niej. Lisa wykorzystala część tej sumy na dokończenie studiów na wydziale nauk społecznych. Resztę pieniędzy ofiarowała na cele dobroczynne. Za bardzo wstydziła się oszukiwania Dominika, by móc z czystym sumieniem żyć z jego pieniędzy. Gdy przepisała pieniądze na wybraną przez siebie fundację, po raz pierwszy od długiego czasu poczuła pewną ulgę i szacunek dla samej siebie.

Zadzwoił telefon i wyrwał Lisę z zamyślenia.

- Lisa Conti, słucham - zgłosiła się.

- Tu międzymiastowa. Dobry wieczór, pani Conti. Łączę rozmowę z panem Jeremym Winthropem.

Czekając na połączenie poczuła, że serce bije jej szybciej. Dlaczego Jeremy Winthrop do niej dzwoni? Czego może od niej chcieć?

- Pani Conti? - Głos Jeremy'ego brzmiał dziwnie niepewnie.

- Tak.

- Mówi Jeremy Winthrop. Dobry wieczór.

- Dobry wieczór, panie Winthrop - odpowiedziała mu Lisa z rezerwą.

- Proszę wybaczyć, że dzwonię do pani do domu, ale nie potrafię sobie poradzić. By nie nudzić pani niepotrzebnymi wstęпами, przejdę od razu do rzeczy. Po południu, zaraz po tym, gdy się pożegnaliśmy, miałem głupi wypadek. Koń mnie zrzucił...

- Przykro mi to słyszeć, panie Winthrop - odparła Lisa automatycznie. - Mam nadzieję, że nie zranił się pan poważnie.

- Nie, nie. Zupełnie nieźle się czuję. Nie dzwonię też po to, by mi pani współczuła. Nie, pani Conti, chodzi mi o Karolinę. Jestem bardzo zaniepokojony. Ona jest okropnie zdenerwowana, nigdy jej takiej nie widziałem. Lekarz kazał mi leżeć w łóżku, rozumie pani...

- Tak... Ale nie wiem, jak mogłabym panu pomóc. - Lisa zmarszczyła czoło. - Czy to Karolina tak płacze?

- Tak... Karolino, dziecko, przestań wreszcie płakać! Nic złego się przecież nie stało... Jeśli mam być szczerzy, pani Conti, zabrakło mi już argumentów. Karolina odmawia opuszczenia mojego pokoju choćby na minutę. Może pani by mogła... zamienić z nią, kilka słów?

- Nie rozumiem, co pan sobie po tym obiecuje, panie Winthrop.

- Proszę, pani Conti, niech pani przynajmniej spróbuje. Karolina nabrała do pani zaufania. Może pani uda się ją uspokoić.

Lisa wahała się przez chwilę. - Dobrze - odparła w końcu. - Zobaczę, czy uda mi się pocieszyć Karolinę. Bez wątpienia ta przesadna reakcja na pański wypadek wiąże się z tym, że jeszcze nie przeboleła utraty ojca.

- Możliwe. Dziękuję pani.

Lisa usłyszała, jak Jeremy woła Karolinę do aparatu.

Ostrożnie i z pełnym zrozumieniem mówiła szlochającemu dziecku słowa pociechy. I rzeczywiście Karolina się uspokoiła. Na koniec pomodliły się razem o zdrowie wujka i Lisa pożegnała ją obietnicą, że wkrótce się zobaczą.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować. - Jeremy odetchnął z ulgą.

- Nie musi mi pan dziękować, panie Winthrop. Sama jestem zaskoczona i cieszę się, że Karolina tak szybko się uspokoiła. - Lisa zobaczyła przez okno, że Bruce parkuje samochód pod domem. Nagle coś jej się przypomniało. - Niech pan mi powie, jak zdobył pan mój prywatny numer? Nie ma go w książce telefonicznej i jest zastrzeżony.

Jeremy zaśmiał się cicho. - Jest bardzo niewiele rzeczy, których nie mógłbym się dowiedzieć, pani Conti. Ale zapewniam panią, że nikomu nie zdradzę pani numeru.

Lisa usłyszała dzwonek do drzwi.

- Pozwoli pan, że się pożegnam, panie Winthrop. Życzę panu szybkiego powrotu do zdrowia.

- Dziękuję, pani Conti. I proszę podziękować mężowi za cierpliwość.

- Jestem wdową...

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza' - Przepraszam panią - powiedział w końcu Jeremy cicho. - Niech mi pani powie, czy mógłbym panią prosić, żeby przyjechała pani jutro do mnie do domu?

- Czy zdecydował się pan jednak z nami współpracować?

- Ja... tak, być może to też. Ale przede wszystkim chciałbym z panią omówić coś, co dotyczy Karoliny. Chciałbym zaproponować pani coś, co może panią zainteresować. Powiedzmy jutro o dziesiątej?

Lisa zgodziła się, zaskoczona i zaciekawiona.

### ROZDZIAŁ 3

Lisa z namysłem wybierała strój następnego ranka. Długo stała niezdecydowana przed szafą, wyjmowała jakąś część garderoby, przyglądała się jej krytycznie i odwieszała z powrotem. Gdy tak przeszukiwała swoją szafę, uświadomiła sobie nagle, że szuka czegoś, w czym mogłaby zrobić wrażenie na Jeremym i rozzłościła się na samą siebie.

Niechętnie sięgnęła po pierwszą lepszą rzecz, jaka wpadła jej w ręce. Było to szare spodnium i bladoniebieska cienka bluzka. Zestaw uzupełniły antracytowe półbuty na niskim obcasie. Lisa z zadowoleniem przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Tak może się spokojnie pokazać u swojego szlachetnie urodzonego klienta. Ostatni raz poprawiła ciemne włosy opadające łagodnymi falami na ramiona, pociągnęła usta szminką i w dobrym nastroju udała się w drogę.

Mosiężny szyld przy wjeździe na posesję Jeremy'ego Winthropa trudno było przeoczyć. Lisa wjechała powoli przez otwartą bramę z kutego żelaza. Rzut oka na zegarek upewnił ją, że tym razem się nie spóźniła. Brukowana droga dojazdowa kończyła się łagodnym łukiem i nagle Lisa zobaczyła dom. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Przed nią stała biała, trzypiętrowa, dobrze utrzymana willa w wiktoriańskim stylu. Staromodny dom z wykuszami, frontonami i niezliczonymi wieżyczkami, dokładnie taki, jaki ona i Dominik sobie wymarzyli.

- Jaki przepiękny - szepnęła i łzy napłynęły jej do oczu. Zatrzymała samochód, wysiadła i powoli weszła po kamiennych schodach prowadzących do pomalowanych na niebiesko drzwi wejściowych. Ledwie dotknęła mosiężnej kołatki, a już drzwi się otworzyły i pani van Home powitała Lisę.

- Proszę wejść, pani Conti. Pan Winthrop oczekuje pani. - Zadbana starsza pani w ciemnej sukni uśmiechnęła się do niej serdecznie i zaprowadziła ją po krętych drewnianych schodach na pierwsze piętro. Przeszły wzdłuż korytarza. Przed przedostatnimi drzwiami pani van Home zatrzymała się i nacisnęła klamkę. - Pani Conti - zaanonsowała.

- Dziękuję, Vannie. Proszę wejść, pani Conti - zabrzmiał z pokoju głos Jeremy'ego Winthropa.

Lisa weszła do pokoju i rozejrzała się z zaciekawieniem. Wystrój był prosty, ale elegancki. Kilka dobrze utrzymanych antyków określało charakter pomieszczenia. Ściany były pokryte tapetą w kolorze kości słoniowej,

ciemnobrązowe aksamitne zasłony na drzwiach balkonowych stanowiły uroczy kontrast z orientalnymi dywanami w jasnych odcieniach oliwkowych.

- Ja nie gryzę, spokojnie może pani podejść bliżej!

Lisa drgnęła. Jej spojrzenie padło na łóżko w drugim końcu przestronnego pokoju. W białej pościeli siedział, podparty poduszkami, Jeremy Winthrop. Szeroki elastyczny bandaż oplatał jego muskularny tors.

- Czyż mój widok nie chwyta za serce? - zakpił Jeremy. - Dzień dobry, pani Conti.

- Dzień dobry, panie Winthrop. Jak pan się czuje? - Lisa podeszła do łóżka i wyciągnęła do niego rękę.

Jeremy przytrzymał jej dłoń dłużej niż to było konieczne. - Dziękuję, dzisiaj czuję się już o wiele lepiej. Ale to także dzięki pani pomocy wczoraj wieczorem. Była pani naprawdę moją ostatnią nadzieją i niech mi pani wierzy, że jeśli nie byłbym tak zrozpaczony, na pewno bym pani nie fatygował.

Lisa zaczerwieniła się. - Co teraz robi pańska bratanica? - szybko zmieniła temat.

- Bawi się w swoim pokoju. - Uśmiechnął się. - Całkiem się już uspokoiła. Ale proszę usiąść, pani Conti. Pani van Home zaraz poda pani herbatę.

- Dziękuję, panie Winthrop, ale to naprawdę niepotrzebne. - Lisa przysunęła sobie krzesło i usiadła.

- Cieszyłbym się, gdyby mówiła pani do mnie Jeremy.

Lisa nie odpowiedziała. Otworzyła torebkę i wyjęła notes i kilka formularzy. Co tak nagle spowodowało zmianę jego nastroju? Do jakiego celu dążył tą nieoczekiwaną uprzejmością? No, jakiegokolwiek byłyby jego motywy, ona ma tu konkretną pracę do wykonania.

- Zgoda, parne... Jeremy. Ale w takim razie pan powinien nazywać mnie Lisą. - Aby ukryć zmieszanie, uciekła się do chłodnego, uprzejmego tonu. - Jeśli wyrazi pan zgodę, chciałabym pominąć zwykłe pytania o pańskie finanse i wszystko, co się z tym wiąże. Informacji na ten temat zasięgnę u pańskich prawników. Nasza agencja, a później także sąd interesuje się bardziej sferą emocjonalną. Głównie na tym oprze się decyzja o przyznaniu opieki lub zgodzie na adopcję. Naturalnie przyszłość dziecka musi być zabezpieczona od strony finansowej, to nie ulega kwestii. Ale decydujące jest zawsze, czy można oczekiwać trwałej emocjonalnej więzi.

- Uff, z jakiego podręcznika zacytowała pani te podniosłe słowa? Sens pani przemowy jest więc następujący: ta strona, która rzeczywiście kocha Karolinę i potrafi to udowodnić przed sądem, otrzyma prawo opieki, zgadza się?

Lisa skinęła. Z zastanowieniem obserwowała zaciśnięte usta Jeremy'ego i jego chłodne szare oczy, które patrzyły na nią wyzywająco.

- Chciałbym wiedzieć, o czym pani teraz myśli, Liso. Ja... - Nagle opadł na poduszkę i zamknął oczy. Mimo opalenizny zupełnie zbladł. Krople potu pojawiły się na jego czole.

- Bardzo pana boli? - Lisa pochyliła się w jego stronę zatroskana.

- Nie. Już dobrze. - Jeremy otworzył oczy i uśmiechnął się z wysiłkiem. - Mam tabletki, które mogę wziąć w razie silniejszego bólu.

- Możemy kontynuować naszą rozmowę innym razem, jeśli teraz sprawa to panu zbyt wiele wysiłku.

- Nie trzeba. Proszę mówić dalej, Liso. Zależy mi na tym, żeby możliwie szybko odpowiedzieć na pani pytania.

- Dobrze, więc jedziemy dalej, jeśli czuje się pan na siłach. - Lisa zadawała kolejne pytania ze swojej listy i dotarła już prawie do końca, gdy pojawiła się pani van Home z dzbankiem herbaty, dwiema filiżankami i świeżo upieczonymi ciasteczkami.

- Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się trzymać Karolinę z dala od pana, panie Winthrop. Stoi przy schodach ze szczotką do włosów w ręce i czeka niecierpliwie, żeby ją pan uczesał. - Gospodyni naląła herbatę do cienkich filiżanek z białej porcelany.

- Spokojnie możesz mówić do mnie Jeremy, Vannie! Przed Lisą nie musimy udawać. - Zaśmiał się rozbawiony. - Vannie zna mnie od dnia moich narodzin. Była moją nianią, a potem wychowawczynią. I chociaż kiedyś zmieniała mi pieluchy, teraz upiera się, żeby mówić do mnie „panie Winthrop”, gdy mamy gości.

- Tak powinno być, panie Winthrop.

Lisa uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, jak starsza pani z macierzyńską troską poprawia Jeremy'emu poduszki.

- Czy Karolina wie, że ja tu jestem? - spytała Lisa.

- Tak... oczywiście... Dlaczego miałyby nie wiedzieć?

- Czy pozwoli mi pan porozmawiać z nią potem na osobności? Jeremy zawahał się. - Czego chce się pani od niej dowiedzieć? Pani van Home opuściła pokój.

- Chciałabym z nią porozmawiać, żeby mieć obraz osobowości Karoliny. Interesuje mnie, co dziecko myśli i czuje w odniesieniu do tego domu i do pana, Jeremy.

- Niech pani posłucha, Liso, w tej chwili nie chciałbym tego. Nie dlatego, że miałbym coś do ukrycia. Ale najpierw chciałem z panią omówić, dlaczego właściwie tu panią zaprosiłem.

- Wprawdzie umieram z ciekawości, ale przedtem chciałabym dokończyć moje notatki. To już nie potrwa długo.

- Ależ proszę. Mam czas.

Lisa poczuła na sobie jego wzrok i zrobiło jej się jednocześnie gorąco i zimno. Pospiesznie wypełniła resztę formularzy. Skończyła w ciągu kilku minut. Schowała papiery do torebki i usiadła wygodniej.

- Wujku Jeremy? Wujku Jeremy, w twoim pokoju było tak cicho, myślałam, że twój gość już poszedł... Lisa? Och, Liso, nie wiedziałam, że pani tu jest! - Karolina pędem przebiegła przez pokój.

- Karolino, co ty tu robisz? Miałaś zostać na dole z Vannie - powiedział Jeremy niechętnie.

Rozpromieniona buzia dziecka sposepniała.

- Cześć, maleńka, cieszę się, że cię widzę. Jak się dzisiaj miewasz? - Lisa próbowała zlikwidować napięcie między wujem a bratanicą.

- Świetnie- - Karolina przysiadła w nogach łóżka. - Och, przepraszam, wujku Jeremy - szepnęła przerażona, gdy łóżko się zakołysało.

- Nie szkodzi, Karolino. - Lisa widziała po wyrazie jego twarzy, z jakim trudem przychodzi mu ukrywanie bólu przed dzieckiem.

Pani van Home wpadła do środka. - Przykro mi, Jeremy - usprawiedliwiła się. - Ledwie spuściłam Karolinę z oczu, a już zniknęła. - Wzięła dziewczynkę za rękę i ściągnęła ją, z łóżka. - Ty niegrzeczne dziecko. Chodź ze mną...

- Ale ja chcę być z Lisa!

- Idź teraz z Vannie, Karolino - powiedział Jeremy spokojnie, ale zdecydowanie. - Potem będziesz mogła jeszcze porozmawiać z Lisą. - Westchnął, gdy zobaczył powątpiewające spojrzenie Karoliny. - Obiecuję ci.

- Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa... - Karolina niechętnie pozwoliła pani van Home wyprowadzić się z pokoju.

- Obawiam się, że niewiele mogę dodać. - Jeremy opadł na poduszkę. Skrzywił się z bólu.

Lisa uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem. - Jeremy, ja... nie jestem tu po to, by wyrokować, jestem tylko obserwatorem. Myślę, że ma pan swoje powody, dla których... dla których traktuje pan dziecko...

- Tak szorstko? - dokończył. - Ja też nie wiem. Ale doprowadza mnie to do szaleństwa, gdy Karolina czasami patrzy na mnie tak wrogo. To takie wrażliwe dziecko! Przyzwyczajają się do osób, do miejsca, nabiera zaufania, odważa się na nieśmiałe przejawy uczuć i co dzieje się potem? Musi się rozstać z ukochaną okolicą, odrywa się ją od przyjaciół, od ludzi, których kocha... Och, Liso, to okropne dla dziecka, kiedy nigdzie nie ma domu, nigdzie nie może zapuścić korzeni i nie ma niczego, czego mogłoby się trzymać. - Milczał przez chwilę, a potem ciągnął dalej z namysłem: - Mój brat Walter był misjonarzem. Jego pierwsza żona Sandra, matka Karoliny, towarzyszyła mu w jego podróżach. Karolina z niewielkimi wyjątkami też. Byli wesołą i szczęśliwą rodziną. Walter był zrozpaczony po nagłej śmierci Sandry na atak serca. Karolina miała wtedy pięć lat.

Jeremy spojrział przez okno. - Prawie rok później przywiózł z Wenezueli Viviane, grającą zawodowo w polo, kobietę o wątpliwej sławie.

Gdy oświadczył, że chce się z nią ożenić, nie mogłem uwierzyć. Z rozczarowania i niechęci do tej kobiety nie robiłem żadnej tajemnicy. Poróżniliśmy się z jej powodu. Dwa dni później Walter pojechał z Karoliną i Viviane do El Salvador. Był w samym środku frontu... W mediach wiele było na ten temat, może pani sobie przypomina.

Lisa skinęła, a on mówił dalej: - Mój brat żył swoją wiarą z pełną konsekwencją. Nigdy nie podzielałem jego poglądów, ale podziwiałem go. Nawet świadomość, że może osierocić swoje jedyne dziecko w dalekim, obcym kraju, nie odstraszała go. Szedł swoją drogą do końca i myślę, że tak musiało być.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Ale... skoro taki mężczyzna, jak pański brat, kochał Viviane, to nieprawdopodobne, żeby ona była zła. Może tylko nie zna jej pan dostatecznie dobrze?

Jeremy milczał pogrążony w myślach i Lisa od razu pożałowała, że wtrąciła się w jego osobiste sprawy. Najwyższa pora zmienić temat.

- Chciał mi pan, zdaje się, przedstawić jakąś propozycję? W każdym razie dlatego odesłał pan Karolinę.

- Tak, Liso. Gdy weszła pani do mojego pokoju, zauważyłem pani pełne podziwu spojrzenia. Podoba się pani ten pokój? I ten dom?



- Tak, podoba mi się - odparła Lisa zdziwiona. Zastanawiała się w duchu, dokąd zmierza Jeremy. - Bardzo lubię te przepiękne stare domy w wiktoriańskim stylu. Pański dom został odrestaurowany z wielkim wyczuciem i zamiłowaniem do szczegółów.

- Zdolny młody człowiek prowadził te prace. Nazywał się Conti. To jemu należy się pani uznanie.

Z twarzy Lisy nagle odpłynęła krew. - Dominik Conti? - szepnęła.

- Tak. - Jeremy skinął. - Czy to jakiś pani krewny? Olbrzymia firma „Conti Construction”...

Lisa nie usłyszała jego ostatnich słów. Przypomniała sobie nagle, jak Dominik marzył o tym domu. Całymi tygodniami namawiał ją, żeby pojechała z nim obejrzeć tę posiadłość, ale jakoś nigdy nie znalazła czasu, żeby mu towarzyszyć.

- Dominik był moim mężem - powiedziała prawie niedosłyszalnie. - Był specjalistą od restaurowania starych domów. Nad pańskim domem pracował cztery lata temu. Byliśmy wtedy świeżo po ślubie.

- Och, przykro mi, że poruszyłem temat...

- Nie musi pan przeproszać, Jeremy. Skąd miał pan wiedzieć, że Dominik Conti był moim mężem? Mieliśmy wtedy własny mały domek w wiktoriańskim stylu... w Salem. Dominik został przy pracy nad naszym domem uderzony spadającym żelaznym podnośnikiem. Zginął na miejscu. - Lisa przerwała i spojrzała na Jeremy'ego. - Gdyby Dominik wiedział, że tak bardzo ceni pan jego pracę, byłby dumny i szczęśliwy.

- Gdy odziedziczyłem tę posiadłość po dziadku, nie wyobrażałem sobie w najśmielszych marzeniach, że ten dom może kiedyś zostać tak pięknie odrestaurowany. - Jeremy wyprostował się ostrożnie. - Czy ma pani dzieci, Liso?

- Nie... Zanim wyjdę, chciałabym panu postawić jeszcze jedno pytanie...

- Mieszka pani nadal w tym domu w Salem?

- Nie przyszłam do pana, żeby rozmawiać o sobie, Jeremy - zauważyła z uśmiechem. - Ale dlaczego miałabym robić z tego tajemnicę? Mieszkam w małym, wynajętym mieszkaniu.

Jeremy zaczerpnął głęboko powietrza. - Czy przypomina pani sobie, jak wczoraj mówiłem, że szukam kogoś, kto podczas mojej nieobecności troszczyłby się o Karolinę? Nikt nie nadawałby się do tego lepiej od pani, Liso. Na poddaszu znajduje się oddzielne małe mieszkanie z osobnym wejściem obok garażu. Oferuję pani to mieszkanie oraz odpowiednią pensję.

- Miałabym... tu mieszkać? U pana? - Lisa powoli dochodziła do siebie po tej niespodziance. - Proszę, Jeremy, niech pan mnie źle nie zrozumie. Mam wyczerpującą pracę, która kosztuje mnie wiele czasu i nerwów. I działam w mojej gminie kościelnej w Lynn, Dla pańskiej bratanicy pozostałoby mi bardzo mało czasu.

- Czy nie mogłaby pani... wziąć urlopu?

- Nie chciałabym. Jest tak dużo ludzi, którzy zdani są na naszą pomoc, Jeremy. Miałabym wyrzuty sumienia, gdybym zostawiła ich własnemu losowi. Może to zabrzmieć patetycznie, ale myślę, że ci ludzie mnie potrzebują.

- Zapłaciłbym pani więcej, niż pani teraz zarabia.

- Gdyby mi zależało na wysokich zarobkach, z pewnością nie wybrałabym tego zawodu, panie Winthrop. W każdym razie dziękuję za pańską wspaniałomyślną ofertę i chętnie pana wesprę w poszukiwaniu odpowiedniej osoby do tego zadania.

- Nie chcę mieć w domu kogokolwiek, Liso, chcę pani!

- Nie da rady...

- Możemy zawrzeć kompromis. Pani wprowadzi się na mansardę, ale jednocześnie będzie pani nadal wykonywać swoje zajęcia.

- Ale Karolina wkrótce pojedzie do internatu... wtedy będzie tu mieszkać tylko w czasie ferii.

- Liso, czy pani naprawdę nie rozumie, dlaczego chciałbym, żeby pani tu zamieszkała?

- Ma pan nadzieję polepszyć w ten sposób swoją pozycję przed sądem.

- A czy to takie złe?

- Czy pomyślał pan o tym, jak ja miałabym pogodzić pańską ofertę ze swoim sumieniem?

- Moi prawnicy, z którymi naturalnie konsultowałem się w tej sprawie, wykluczają, że mogłaby pani mieć jakiegokolwiek kłopoty. Wszystko odbywałoby się w ramach prawa. Ani mnie, ani pani nie można zarzucić złych zamiarów.

- Moje sumienie kieruje się niestety innymi prawami, Jeremy.

- Proszę. Liso, niech pani zastanowi się jeszcze raz nad moją propozycją. Może... mogłaby pani chociaż spróbować?

- Nie chciałabym teraz podejmować decyzji. W każdym razie najpierw muszę poradzić się w tej sprawie mojej przełożonej. - Lisa wstała. Poczula, że nogi ma jak z waty. - Dziękuję panu, że tak otwarcie odpowiadał pan na moje pytania. Gdzie znajdę Karolinę?

- Powinna być, w kuchni. Niech pani zejdzie po schodach i pójdzie korytarzem w prawo. Na samym końcu znajdzie pani kuchnię.

- Dziękuję. I do widzenia. - Szybkim krokiem podeszła do drzwi.

- Liso?

Odwróciła się z wahaniem. - Tak?

- Obiecuje pani zastanowić się nad moją propozycją? Proszę, Liso. Skinęła i wyszła z pokoju.

Koło południa na niebie pojawiły się ciemne chmury i gdy Lisa wyjeżdżała z bramy na drogę, zaczął padać deszcz. Włączyła światła i uruchomiła wycieraczki. Deszcz był coraz większy i gdy wysiadła na parkingu przed domem, lało już jak z cebra.

Mieszkanie wydało jej się puste i nieprzytulne jak nigdy dotąd. Poczowała się we własnych czterech ścianach jak obca. Nagle podjęła decyzję. Przeprowadzi się do Hamiltonu. Czeka tam na nią mała dziewczynka, bardzo wrażliwe dziecko, które obdarza ją zaufaniem, potrzebuje jej i któremu Lisa może dać trochę poczucia bezpieczeństwa.

Nie zwlekając podeszła do telefonu i wybrała numer swojej agencji. Miała nadzieję, że Marta rozproszy jej ostatnie wątpliwości i umocni ją w tej decyzji. I rzeczywiście, Marta doradziła jej przyjąć ofertę Jeremy'ego. Zaleciła jej wprawdzie ostrożność, ale raczej pochwaliła zamiary Lisy, nie zgłaszając żadnych zastrzeżeń.

## ROZDZIAŁ 4

- Tak, słucham? - Lisa oderwała wzrok od notatek rozłożonych na biurku. - Ach, to ty, Marto. Coś pilnego?

Marta uśmiechnęła się rozmarzona. - W moim gabinecie czeka najatrakcyjniejszy młody mężczyzna, jakiego od dłuższego czasu widziałam - szepnęła. - Chciałby z tobą mówić, jeśli nie jesteś zbyt zajęta.

- Czy jest szczupły, opalony, ma krótkie czarne włosy...? Marta skinęła. - Dokładnie tak, jak mówisz, skarbie.

- W takim razie to Jeremy. - Lisa podniosła się. - Ale umówiliśmy się dopiero na jutro - mruknęła.

- Ten szalenie przystojny facet to Jeremy Winthrop? - Marta usiadła na krześle. - Coś takiego! Jeśli go dobrze zrozumiałam, chce cię zaprosić na lunch.

Lisa zmarszczyła czoło. - Nie zwykłam wychodzić na lunch z moimi klientami.

- Moja miła, zachowujesz się jak pensjonarka! W biały dzień idziesz z nim do restauracji. Chciałabym wiedzieć, co w tym widzisz takiego osobliwego. Przecież za kilka dni przeprowadzasz się do niego.

- Nie do niego, do jego domu. Moje mieszkanie ma oddzielne wejście.

- I tak będziesz go codziennie widywać.

- Przypuszczalnie. - Przeczesała palcami włosy. - A więc dobrze. Za pięć minut będę gotowa. Zechcesz mu to powiedzieć, Marto?

- Jasne. Już idę. - Marta zerwała się z krzesła. - I nie musisz się spieszyć z powrotem, Liso, świat się nie zawali, jeśli spóźnisz się kilka minut. Zasłużyłaś sobie na przerwę obiadową. Wyślę twojego Mister Universum do poczekalni. Miłej zabawy! - Marta mrugnęła do niej porozumiewawczo i wyszła.

Gdy Lisa po chwili weszła do poczekalni, Jeremy stał przy oknie i patrzył na ulicę. W swojej lnianej marynarce i modnych granatowych spodniach wydawał się nie na miejscu w tym skromnie urządzonej pokoju.

- Już jestem - powiedziała Lisa.

Jeremy odwrócił się. - Cieszę się i dziękuję, że poświęca mi pani swój cenny czas. - Obdarzył ją promiennym uśmiechem i popatrzył na nią z uznaniem. - Świetnie pani wygląda w tym kostiumie.

Lisa zaczerwieniła się. - Dziękuję. To mój ulubiony kostium.

- Mam nadzieję, że nie oderwałem pani od jakiejś pilnej pracy.

- Nie. Wprawdzie zwykle nie wychodzę na lunch, najwyżej jem kanapkę przy biurku. Ale dlaczego nie miałabym od czasu do czasu zafundować sobie trochę przyjemności? Taka przerwa w codziennym kołowrocie dobrze mi zrobi.

- Cieszę się, że tak pani do tego podchodzi. - Jeremy wziął ją za rękę i skierowali się w stronę drzwi. W chwili gdy chciał nacisnąć klamkę, ktoś pchnął energicznie drzwi z drugiej strony.

- Do licha, ależ to się dzisiaj zrobiło ciężkie! - Zasapana kobieta weszła do pokoju. Postawiła dwie wypchane siatki na podłodze i wyprostowała się z jękiem. - Cześć, Liso! - Jej bezzębne usta rozszerzyły się w uśmiechu.

- Cześć, Patsy. Jak się pani miewa?

- Nieźle. Tylko moje siatki są potwornie ciężkie.

- Pomogę pani. - Jeremy pochylił się i wyciągnął rękę w stronę siatek.

- Łapy przy sobie! Nikt nie będzie dotykał moich kłopotów, zapamiętaj sobie!. - Patsy zlustrowała Jeremy'ego podejrzliwym spojrzeniem. - W porządku, chłopcze, widzę, że nie miałeś nic złego na myśli. Dziękuję ci. - Usiadła na krześle. - Nigdy dosyć ostrożności w dzisiejszych zwariowanych czasach. Wszyscy patrzą tylko, jak człowieka okraść.

- Pani Reilly zaraz się panią zajmie - powiedziała Lisa.

- Świetnie, ale nie ma pośpiechu. Biedna dziewczyna, taka jest zapracowana. - Patsy przesiadła się na kanapę i skrzyżowała ręce na piersiach. - I tak nie mam już dzisiaj nic pitnego. - Spojrzała na Lisę i Jeremy'ego. - A kim w ogóle jest ten ładny chłopak? Nowa zdobycz?

Policzki Lisy zaczerwieniły się lekko. - To pan Jeremy Winthrop, Patsy. Jest jednym z naszych klientów, tak jak pani.

- Taki facet? Jeśli on jest tu klientem, to ja jestem królową Anglii! - Mrugnęła do Lisy.

Jeremy zaśmiał się. - Nawet jeśli pani nie wierzy, Patsy, to Lisa mówi prawdę. Idziemy na lunch, żeby porozmawiać o mojej sprawie. Miło mi było panią poznać, szanowna pani - pożegnał ją uprzejmie bez cienia protekcjonalizmu.

- Czy ta kobieta ma w tych siatkach cały swój dobytek? - spytał Jeremy, gdy byli już z Lisą na ulicy.

Lisa przytaknęła. - Patsy należy do sporej grupy bezdomnych w tej dzielnicy. Już od dawna próbujemy znaleźć dla niej jakieś stałe schronienie, ale jak dotąd bezskutecznie. A czas nagli. Noce są już bardzo chłodne, niedługo będzie mróz.

- I mówi pani, że jest dużo takich osób tu, w Lynn?
- Więcej niż jesteśmy w stanie objąć opieką.
- Rozumiem... Gdzie chciałaby pani pójść na lunch?
- Może do Deliramy? Tam dają pierwszorzędne kanapki z wołowiną.
- Czy można tam spokojnie usiąść i porozmawiać?
- Są oddzielne nisze, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.
- W porządku, więc chodźmy. Muszę pani wyznać, że nigdy w życiu nie jadłem jeszcze kanapki z wołowiną.
- Naprawdę? - Lisa zaśmiała się rozbawiona. - To nie wie pan, co pan stracił.

Gdy siedzieli już przy deserze. Lisa podsumowała jeszcze raz, pod jakimi warunkami wprowadzi się do domu Jeremy'ego.

- Musimy się kierować wyłącznie dobrem Karoliny. Przyszłość dziewczynki zależy również od naszego zachowania - zauważyła poważnie. - Ani na sekundę nie może się pojawić wątpliwość co do mojego obiektywizmu. Każdy musi widzieć we mnie wyłącznie bezstronnego obserwatora. Wszelkie inne wrażenie zaszkodziłoby dotkliwie Karolinie, a także panu, Jeremy.

- Będę się strzegł przed ryzykowaniem przyszłości Karoliny. Za bardzo kocham to biedne dziecko.

- Oczywiście. A jeśli stwierdzi pan, że staję po którejś stronie, niech pan w to niezwłocznie wkroczy, w interesie nas wszystkich.

Jeremy skinął. - Nie damy Viviane żadnej okazji, którą mogłaby przeciw nam wykorzystała ta żmija.

- Także jeśli chodzi o Viviane, chciałabym pana prosić, żeby w żaden sposób nie próbował pan wpływać na moją opinię. Będę wobec niej zupełnie neutralna i wyrobię sobie własne zdanie na jej temat. Inny sposób postępowania nie da się pogodzić z moim pojęciem moralności, poza tym byłby niesprawiedliwy wobec wdowy po pańskim bracie.

Mina Jeremy'ego sposepniała, jednak potem wzruszył ramionami. - Mam zaufanie do pani opinii. Nie będę pani kusił do sprzysiężenia się ze mną przeciw Viviane.

- I jeszcze coś. Także Karolina musi od początku wiedzieć, że mój pobyt w pańskim domu skończy się z chwilą procesu.

- Nie będę łudził dziecka, nie ma obawy. - Jeremy uśmiechnął się nagle. - Cieszę się, że się pani do nas wprowadzi. Ze mną jest podobnie, jak z

Karoliną. Oboje nie możemy się doczekać chwili, gdy zajmie pani mieszkanie na poddaszu.

Skinął na kelnera i zapłaci! rachunek. - Sprawilo mi przyjemność zjedzenie z panią lunchu w tej restauracji, chociaż nie jest to ten rodzaj lokalu, do jakiego zwykle zapraszam moich gości.

- Ale dzięki temu zjadł pan po raz pierwszy w życiu kanapkę z wołowiną - zauważyła Lisa ze śmiechem.

- To prawda. I rzeczywiście była pyszna. Stwierdzam, że znajomość z panią się opłaca. Myślę, że możemy częściej wychodzić razem coś zjeść i porozmawiać.

Jeremy odprowadził Lisę do drzwi agencji. - A więc ustalone, wprowadza się pani do nas w sobotę? Lisa skinęła. - Tak. I... cieszę się.

Jeremy uśmiechnął się ciepło. - Do zobaczenia w sobotę, Liso,

- Do zobaczenia, Jeremy.

Lisa wyglądała przez okno w swoim nowym mieszkaniu i podziwiała zachód słońca. Las w oddali wydawał się już zupełnie ciemny, choć niebo jeszcze było jasne. Przed stajnią zobaczyła Jeremy'ego na Kestralu. Obok, oparta o płot, stała drobna postać w czerwonej bluzce i granatowych spodniach - Karolina.

Lisa westchnęła z zadowoleniem. Bardzo jej się podobało nowe przytulne mieszkanie pod dachem. Przypomniała sobie poprzedni wieczór i zmarszczyła brwi. Między wujem a bratanicą wyczuła znowu to dziwne napięcie, ale nadal nie rozumiała tej przedziwnej mieszanki miłości i nienawiści, czułości i odrzucenia, która była wyraźnie widoczna w ich stosunkach.

W sobotę rano, gdy Lisa się wprowadziła, pani van Home powiedziała jej, że Jeremy'emu wypadło jakieś ważne spotkanie. Karolina przywitała ją z ogromnym zachwytem. Przez cały dzień nie odstępowała jej na krok, ;i gdy nadeszła pora kolacji, miała uparła się, żeby Lisa zjadła razem z nią.

Lisa nadal pamiętała, jaka marudna stawała się z każdą minutą Karolina i jak ona próbowała ją uspokoić, chociaż sama była coraz bardziej zdenerwowana.

- Gdzie się podziewa wujek Jeremy? - Karolina zmarszczyła czoło.

- Obiecał, że zje ze mną dzisiaj kolację, a teraz nie przychodzi! A żeby pani słyszała, jak na mnie krzyczy, gdy spóźnię się choć minutę.

- Pewnie zatrzymano go w biurze, Karolino.

Ledwie Lisa skończyła to mówić, drzwi się otworzyły i wszedł Jeremy. W rękach miał olbrzymią paczkę, zapakowaną w ozdobny papier.

- Wujek Jeremy! - Karolina zerwała się z krzesła i podbiegła do niego. - Tak strasznie długo musiałyśmy na ciebie czekać... Prawie umarłyśmy z głodu!

- Jestem niepoczyszony i pokornie proszę panie o wybaczenie. - Jeremy uklonił się. ~ Kochanie, to dla ciebie. - Z tymi słowami wręczył Karolinie paczkę. - Przykro mi, że musiała pani na mnie czekać - zwrócił się do Lisy. - Utknąłem w korku na pół godziny.

Lisa patrzyła, jak Karolina rozpakowuje prezent. - Dziewczynka bardzo się o pana martwiła, Jeremy - powiedziała cicho.

- Och, wujku Jeremy, ten miś jest przepiękny! Dziękuję! - Karolina, rozpromieniona, obejmowała pandę z miękkiego pluszu. - Mogę go posadzić obok siebie na krześle, gdy będziemy jeść kolację? - Spojrzała na Jeremy'ego w oczekiwaniu.

Jeremy zawahał się. Potem przykucnął przed dziewczynką i spojrzał jej w oczy. - Wiesz, Karolino, że Lisa dopiero dzisiaj przyjechała. Mamy mnóstwo ważnych rzeczy do omówienia...

Uśmiech na twarzy Karoliny zamarł.

- Niektóre sprawy są przeznaczone tylko dla dorosłych. Pomyślałem, że mogłabyś zjeść u Vannie w kuchni... tam jest na pewno o wiele weselej. Vannie przygotowała już dla ciebie porcję lodów.

Karolina walczyła ze łzami. Czy muszę... czy muszę potem iść do swojego pokoju? - spytała zduszonym głosem.

- Może obejrzymy sobie jeszcze potem jakąś książkę. - Lisa uśmiechnęła się do dziewczynki. - Wypożyczyłam z biblioteki kilka bajek, których na pewno jeszcze nie znasz.

- Tak, chemie - zgodziła się cicho Karolina, jednak jej oczy pozostały smutne. Bez słowa odwróciła się i wyszła z pokoju. Miś panda pozostał zapomniany na krześle...

Lisa usłyszała nieśmiało pukanie do drzwi. - Mogę wejść?

- Ależ tak, Jeremy, proszę.

- Chciałem się dowiedzieć, czy podoba się pani nowy dom?

- Och, to mieszkanie jest przepiękne. Te meble, dywany, firanki i tapety... wszystko jest takie gustowne i przytulne. Czuję się tu bardzo dobrze.

- Cieszę się. Chciałem panią zaprosić na nasze posiłki, kiedy tylko pani zechce, Liso.



- Dziękuję za zaproszenie, Jeremy. Ale wie pan przecież, że moja praca nigdy nie kończy się o stałej porze. I sędzę, że w tej wspaniale wyposażonej kuchni tu na górze gotowanie będzie dla mnie przyjemnością.

Jeremy uśmiechnął się. - Tak się cieszę, że zdecydowała się pani do nas przyjechać. Mam tylko nadzieję, że nie będzie to dla pani zbyt wyczerpujące zajmować się jeszcze Karoliną po pracy.

- Ależ nie. Kontakt z Karoliną sprawia mi ogromną radość. Ona jest takim kochanym dzieckiem. Czasu, który z nią spędzam, nie uważam za obciążenie. Przeciwnie, cieszę się, że skraca mi te długie, samotne wieczory. - Lisa przygryzła wargi. Po co opowiada o samotności? Żeby tylko Jeremy źle jej nie zrozumiał...

- A jak pana żebra? - zmieniła pośpiesznie temat. - Bola pana jeszcze?

- Czasami jeszcze coś czuję. Przy szybkich ruchach, a zwłaszcza gdy się śmieję, jeszcze mnie trochę boli. Ale da się wytrzymać.

- Gdy siedział pan na Kestralu, nic nie było po panu widać.

- Mimo to chyba na pewien czas będę musiał zrezygnować z polo. - Spojrzał na Lisę. - Czy pani umie jeździć konno?

- Nie. - Lisa potrząsnęła głową. - Dorastałam w mieście.

- Chciałaby się pani nauczyć?

- Być może. Pod warunkiem, że ma pan jakąś łagodną starą klacz, której nie przyjdzie do głowy mnie zrzucić. Pod tym warunkiem mogłabym spróbować.

Jeremy zaśmiał się rozbawiony. - Nasza stara dobra Maisie będzie odpowiednia. Jest uosobieniem łagodności. Karolina też się uczy na Maisie. Zaczniemy ostrożnie. Na początek wystarczy kilka rund na pastwisku koło stajni. Zobaczysz pani, że jazda konna jest przyjemna.

Lisa spojrzała na niego sceptycznie. - No dobrze, zgoda - powiedziała w końcu. - Raz mogę spróbować i zobaczymy.

- Niech się pani nie boi, na Maisie nic się pani nie stanie. Estella za pół godziny podaje kolację. Zje pani z nami?

- Chętnie.

- Cieszę się. A więc do zobaczenia na kolacji, Liso.

- Do zobaczenia, Jeremy.

Kolacja przebiegła w dobrym nastroju. Mimo że Jeremy wykazywał nieco rezerwy, jednak w wielu uwagach i gestach Lisa wyczuła jego głębokie uczucie do dziecka. Gdy Karolina poszła już do łóżka, usiedli jeszcze przy herbacie.

- Jeremy, chciałabym z panem coś omówić.

- Tak?

- Chodzi o porządek, który utrzymuje Karolina w swoim pokoju. Jeremy uniósł brwi ze zdziwieniem. - O ile wiem, jej pokój jest idealnie posprzątany. Ubrania wiszą porządnie w szafie, zabawki są ułożone na półkach, każdego ranka Karolina sama ściele łóżko...

- Czy taki przesadny porządek pana nie dziwi, Jeremy?

- Nie, dlaczego?

- Bo Karolina zachowuje się, jakby była gościem we własnym domu. Przynajmniej takie jest moje pierwsze wrażenie. Dziecko potrzebuje tego stałego zewnętrznego porządku, żeby mieć poczucie kontroli. Karolina boi się nowej straty. Dlatego unika wszelkich ściślejszych więzów, dlatego nie ma odwagi zaufać komukolwiek bez zastrzeżeń. Obawia się ponownego rozczarowania, ponownej straty, której nie mogłaby już znieść.

Jeremy z zastanowieniem zmarszczył czoło. - Któż mógłby jej to mieć za złe? W swoim krótkim życiu doświadczyła już tyle, skąd ma brać odwagę i siły, by przewyciężyć swój strach?

- Trzeba jej dać poczucie bezpieczeństwa. Ten dom powinien być dla niej miejscem, gdzie znajdzie schronienie teraz i przy wszystkich życiowych burzach, miejscem, do którego zawsze może wrócić, gdzie czuje się kochana i akceptowana, gdzie jest mile widziana, niezależnie od tego, co się wydarzy.

- Ale czy uczciwe byłoby wzbudzenie w niej zbyt dużego zaufania? Zapewnienie jej poczucia bezpieczeństwa, chociaż być może będzie musiała opuścić to miejsce? Nie da się przecież traktować roszczeń Viviane tak, jakby nie istniały.

Lisa poczuła, jak krew napływa jej do głowy. O Boże, prawie zupełnie zapomniała o macosze Karoliny i swoim własnym zadaniu sporządzenia opinii w sprawie opieki nad dzieckiem. Wstała i uśmiechnęła się niepewnie.

- Jeśli za bardzo się wtrącam w rzeczy, które mnie nie dotyczą, to proszę mi wybaczyć. Lubię Karolinę i bardzo mi zależy na tym, żeby była szczęśliwa.

- Więc oboje mamy ten sam cel. - Jeremy również wstał. - Dobranoc, Liso. Dziękuję pani... za te szczerze słowa. - Odprowadził ją do drzwi.

- Dobranoc, Jeremy.

Gdy w następny piątek Lisa wróciła do domu już wczesnym popołudniem, zobaczyła z daleka Karolinę na Maisie jeżdżącą wokół ogrodzonego terenu. Przy płocie stał Jeremy i udzielał jej wskazówek.

Lisa zaparkowała samochód i podeszła do nich.

- Twoja postawa na koniu jest bez zarzutu - pochwaliła Karolinę. Dziewczynka uśmiechnęła się z dumą.

- To dziecko ma wrodzony talent - powiedziała Lisa do Jeremy'ego. Jeremy odwrócił się do niej. - Dzień dobry, Liso. Sam się dziwię, że

Karolina robi tak niezwykle postępy - zauważył nie bez dumy. - Wcześniej pani dzisiaj wróciła. Może pani zaraz zmienić Karolinę.

Lisa zawahała się na moment. - Zgoda - powiedziała w końcu. - Przebiore się tylko w moje stare dżinsy. Za chwilę będę z powrotem.

- Liso, nie zostanie pani? - zawołała Karolina.

- Owszem, Karolino, chcę tylko zmienić spodnie. Tych mi trochę szkoda do jazdy konnej.

- Wujek Jeremy będzie panią uczyć?

- Tak.

- Hura! Słyszałaś, Maisie? Żebyś tylko zachowywała się odpowiednio, gdy Lisa będzie na tobie jeździć.

Lisa ze śmiechem weszła do domu, wbiegła po schodach na górę, przebrała się i szybko zeszła na dół.

- Już jestem.

Karolina podjechała do niej i zeszła z konia. - Jazda konna jest wspaniała! - powiedziała z promiennym uśmiechem. Lisa zaśmiała się. - Nie jestem taka pewna.

- Nie musi się pani bać! Nasza Maisie jest naprawdę łagodna jak baranek.

Jeremy przytrzymał klacz i wyjaśnił Lisie, jak siodła się konia i do czego służą te wszystkie paski i rzemienie przy wodzach i siodle. Spojrzał na jej buty. - Na pierwszą próbę tenisówki mogą być, ale później będzie pani potrzebować porządnych butów do konnej jazdy. A teraz pora na posadzenie pani w siodle. - Bezceremonialnie podniósł ją i wsadził na grzbiet konia.

- Musi pani siedzieć prosto! - upomniła ją Karolina. - Wujek Jeremy zawsze mówi mi, że bym nie wisiała na koniu jak worek kartofli, tylko siedziała dumnie jak królowa. Wyprostować się, patrzeć przed siebie, wodze luźno.

- Musisz być dla mnie na początku wyrozumiała.

- Wujek Jeremy jest dobrym nauczycielem. Zobaczysz pani, po krótkim czasie będzie się pani czuła na Maisie jak ryba w wodzie.

Lisa spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Najpierw dopasujemy pani strzemiona. - Jeremy wydłużył strzemiona o kilka centymetrów. Potem odsunął się do tyłu i popatrzył.

- Teraz proszę włożyć stopy w strzemiona - polecił Lisie. - Tak, długość jest odpowiednia. Możemy zaczynać.

- Jestem gotowa. Mam nadzieję, że Maisie też. - Lisa pochyliła się i pogładziła szyję klaczy.

Jeremy wziął wodze do ręki. - Ja teraz przez chwilę poprowadzę Maisie, żeby się pani przyzwyczaiła do ruchów. Proszę się zupełnie odprężyć. - Poprowadził klacz wzdłuż płotu.

Lisa starała się utrzymać równowagę na kołyszącym się grzbiecie konia. - Gdy pan jeździ albo Karolina, wygląda to o wiele prościej - stwierdziła. - Nigdy nie sądziłam, że tyle wysiłku wymaga elegancka postawa na koniu.

Jeremy spojrział na nią ze śmiechem. Wyglądał tak chłopięco i beztrosko, Lisa nigdy go jeszcze nie widziała w takim nastroju.

- Musi pani ściągać pięty w dół. Wujek Jeremy nie znosi, gdy ktoś robi błędy, od których potem trudno go odzwyczaić - powiedziała Karolina.

- To brzmi, jakbym był strasznie surowym nauczycielem.

- Wymagającym i nieubłaganym! - zaśmiała się Lisa.

- Mój Boże, widzę, że damy sprzysięgły się przeciw mnie! ~ jęknął Jeremy.

- By nie narażać się na dalszą krytykę, zakończę dzisiejszą lekcję. Jest pani pojętną uczennicą, Liso.

Lisa przełożyła prawą nogę przez grzbiet konia, ześliznęła się z siodła i nagle znalazła się na ziemi. Jeremy złapał ją za ramię i uchronił przed upadkiem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- A pan jest cierpliwym nauczycielem. Pewnie w tym sezonie nie wygram jeszcze w zawodach, ale może w następnym.

Jeremy patrzył na nią nieobecny wzrokiem. Lisa była pewna, że słyszy głośnie bicie jej serca.

- Wujku Jeremy! Jakaś ciężarówka tu jedzie. - Karolina wskazała w stronę stajni.

Jeremy niechętnie odwrócił wzrok od Lisy i jęknął. - Och nie, ten człowiek przyjechał o dzień za wcześnie. Bo miał zostać dostarczony dopiero jutro.

- Kto? - spytała Lisa i zobaczyła, jak młody mężczyzna wyprowadza z ciężarówki kucyka.

- No trudno. - Jeremy westchnął. - Chodź, Karolino! Powiedz dzień dobry twojemu nowemu kucykowi.

- On jest dla mnie? Och, wujku Jeremy! - Karolina pobiegła w stronę stajni.

Jeremy przywiązał Maisie do płotu i razem z Lisą poszedł za podnieconą dziewczynką.

- Podoba ci się, Karolino?

Karolina objęła ramionami szyję kucyka. - Tak.

- On nazywa się Bo, panienko - powiedział z uśmiechem kierowca ciężarówki.

- Bo? To imię pasuje do niego. Czy będę mogła na nim jeździć, gdy zostanie ujeżdżony, wujku Jeremy?

- Możesz na nim jeździć od razu, Karolino. Jest już ujeżdżony. - Pogładził dziewczynkę po włosach. - Zapisalem cię do szkółki jeździeckiej w pobliżu. Tam trenerzy mają więcej czasu niż ja, by cię wszystkiego nauczyć.

Lisa przeraziła się, gdy zobaczyła zmianę wyrazu twarzy Karoliny. Jej szczęśliwa mina przeobraziła się nagle we wściekłość. Wpatrywała się w Jeremy'ego. - A co z naszymi lekcjami na Maisie?

- Robisz takie postępy, Karolino, że na Maisie niewiele już się możesz nauczyć. Potrzebujesz teraz konia z większym temperamentem i profesjonalnego nauczyciela.

- Ja chcę jeździć na Maisie! I chcę, żebyś ty był moim nauczycielem! Nie pójdę do żadnej szkółki jeździeckiej i Bo też nie chcę! - krzyknęła Karolina, patrząc na Jeremy'ego z nienawiścią.

Jeremy ani słowem nie zareagował na ten wybuch. Poleciał zmieszanemu kierowcy, by zaprowadził Bo do stajni.

- Karolino, spędzisz wieczór w swoim pokoju! Zrozumiałaś? Nie zamierzam... - Przerwał, gdy poczuł na ramieniu dłoń Lisy. - W porządku, Karolino. Wracaj teraz do domu i przygotuj się do kolacji. Na temat Bo porozmawiamy później.

- Najpierw muszę zaprowadzić Maisie do boksu. - Karolina nie odważyła się spojrzeć Jeremy'emu w oczy.

- Słusznie. Byłbym zapomniiał. Zdejmij jej siodło i popręg, wytrzym jej grzbiet słomą i sprawdź, czy ma dość owsa!

Dziewczynka pobiegła w stronę konia, zadowolona, że może zejść wujowi z oczu.

Jeremy podszedł do Lisy. - Muszę zająć się Bo. Chce pani pójść ze mną? Nie widziała pani zdaje się naszych stajni?

Lisa potrząsnęła głową i poszła za nim. Jeremy zadbał o wodę, siano i słomę w boksie Bo. Potem dokładnie zaryglował drzwi. Oparł się o ścianę i popatrzył na Lisę zatroskany.

- Co ja mam zrobić z tą Karoliną? Każda próba sprawienia jej radości kończy się niepowodzeniem. Czyż każde inne dziecko nie byłoby zadowolone, że może mieć własnego kuczka?

- Karolina jest przywiązana do Maisie, Jeremy. Nie chce, żeby stara klacz została tak po prostu zastąpiona młodym koniem.

Jeremy spojrział na nią przenikliwie. - Dlaczego nie wypowie pani otwarcie tego, co pani myśli? Sądzi pani, że chcę sobie kupić uczucie Karoliny. Czy nie tak?

- To nie całkiem prawda. Myślę, że... ucieka pan przed tym dzieckiem...

- Uciekam przed Karoliną? - Jego twarz zaczerwieniła się. - Musi mi to pani dokładniej wytłumaczyć.

Lisa zebrała całą swoją odwagę. - Obserwowałam przedtem pana

I Karolinę przez chwilę. Obojgu wam sprawiają przyjemność wspólne lekcje jazdy konnej. Ale pan, Jeremy, boi się... Boi się pan swoich uczuć do tego dziecka. Tłumi pan swoje uczucia i ukrywa swoją miłość za kosztownymi prezentami. Karolina czuje instynktownie, że świadomie trzyma ją pan na dystans. Nie rozumie tego, ale jednak czuje, że wszystkie te piękne prezenty są jedynie namiastką czegoś, za czym naprawdę tęskni.

- Ależ ja kocham to dziecko!

- Tak, ale jednocześnie boi się pan okazać swoje uczucia.

- Co mam robić?

- Po prostu niech pan zostawi sprawy własnemu biegowi. Niech pan przysłuchuje się Karolinie, poświęca jej czas i okazuje jej swoje uczucia słowami i gestami. Ona nie potrzebuje żadnych kosztownych prezentów, potrzebuje człowieka, który będzie przy niej, któremu będzie mogła zaufać i co do którego będzie pewna, że nigdy jej nie zawiedzie.

Jeremy pochylił głowę i milczał. - Liso... dziękuję pani - powiedział w końcu cicho.

- Wykonuję tylko swoje obowiązki, Jeremy. .

- O nie, Liso. Robi pani o wiele więcej. - Odgarnął jej pasmo włosów z czoła.

Lisa zaczerwieniła się. Czuły dotyk Jeremy'ego wywołał w niej dreszcze. Powoli podniosła głowę. Ich spojrzenia spotkały się. Lisa stała jak skamieniała, gdy Jeremy pochylił się i pocałował ją.

- To... nie należy do moich obowiązków - szepnęła.

Jeremy przycisnął ją do siebie. - Wiem - mruknął. - Liso, kochana Liso. - Tym razem jego pocałunek był namiętny i natarczywy.

Dzwonki alarmowe rozdzwoniły się w głowie Lisy, jednak wobec nagłego požądania jej rozsądek był bezsilny. Przytuliła się do Jeremy'ego i odwzajemniła jego pocałunek z namiętym głodem miłości i czułości, który ją samą przeraził.

- Proszę... Jeremy, niech pan mnie puści... - broniła się bezsilnie.

- Nie, Liso... Wcale tego nie chcesz! - Trzymał ją mocno w swoich ramionach.

- Proszę... - Lisa próbowała uwolnić się z jego objęć.

Jeremy niechętnie ją puścił. - Czy poszłabyś... Czy poszłaby pani ze mną dzisiaj wieczorem do kina? Potem moglibyśmy skoczyć gdzieś na lampkę wina...

- Przykro mi. Jestem umówiona. Z moim szwagrem, Brucem Conti.

- Serce Lisy nadal waliło jak szalone.

- Ach, tak... rozumiem. Może innym razem?

- Być może. I Karolina mogłaby z nami pójść.

- Karolina? Czemu nie? Na pewno sprawiłoby jej to przyjemność.

- Rzucił okiem do boksu kucyka. - Bo najwidoczniej czuje się dobrze w swoim nowym domu - zauważył. - Myślę, że możemy go zostawić samego.

Lisa skinęła i wyszli ze stajni. W drodze do domu oboje milczeli. Także kolacja, na której się niedługo potem spotkali, przebiegła w milczeniu. Jeremy próbował wprawdzie nawiązać rozmowę, ale zarówno Lisa, jak i Karolina udzielały jedynie monosylabowych odpowiedzi. Obie nie podnosiły wzroku znad swoich talerzy.

Gdy wreszcie przyjechał Bruce, Lisa poczuła ulgę. Pożegnała się pospiesznie i poszła z nim na górę, by pokazać mu swoje mieszkanie. Jeremy patrzył za nimi ponuro.

## ROZDZIAŁ 5

Następnego ranka Lisa ze wstydem myślała o zajściu w stajni. Czuła się współwinna tego, co się wydarzyło. Dlaczego dopuściła do tego, że Jeremy ją pocałował? Ponoсила za tę sytuację nie mniejszą odpowiedzialność niż Jeremy.

Ciągle od nowa przywoływała w pamięci to wydarzenie, przypominała sobie każdy najdrobniejszy szczegół. Czuła, że Jeremy pociąga ją w niewytłumaczalny i napawający lękiem sposób. Jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła takich uczuć do żadnego mężczyzny. Ale czy naprawdę opłacało się ryzykować własną egzystencję dla gorącego pocałunku czy krótkiej przygody? Ryzykować utratę pracy i zaufania Karoliny?

Przez cały dzień Jeremy nie dał nic po sobie poznać. Ani słowem nie wspomniał o wczorajszym zajściu. Chwilami Lisie wydawało się, że pocałunek Jeremy'ego był tylko wytworem jej fantazji. Najwidoczniej dla niego cała ta sprawa była równie nieprzyjemna, jak dla niej. Powinna właściwie odetchnąć z ulgą, jednak z godziny na godzinę czuła się coraz bardziej niepewnie w jego obecności. Postanowiła rozmówić się z nim. Musi mu wyraźnie przedstawić swoje stanowisko i wytłumaczyć, że igrali z ogniem, narażając przy tym lekkomyślnie na niebezpieczeństwo przyszłość Karoliny.

Z mocnym postanowieniem wprowadzenia swoich zamiarów w czyn, gdy tylko nadarzy się okazja, położyła się wieczorem do łóżka i spała spokojnie do rana.

W ciągu kilku najbliższych dni Lisa szukała możliwości porozmawiania z Jeremym sam na sam. Wielokrotnie nadarzała się okazja, jednak Lisa za każdym razem traciła odwagę i paplała o nieistotnych sprawach. Potem złościła się na swoje tchórzostwo.

W końcu to Jeremy przejął inicjatywę. W sobotę, gdy Lisa wróciła z Karoliną z zakupów, Jeremy otworzył im drzwi.

- Witam moje piękne panie! - pozdrowił je w dobrym nastroju. - Jak tam, Karolino, miałabyś ochotę na lekcję jazdy konnej?

Karolina rzuciła na podłogę paczki i torby, które trzymała w rękach, i wbiegła na schody. - Już leczę! - krzyknęła i zostawiła ich razem przy drzwiach.

Lisa i Jeremy popatrzyli za nią i roześmiali się serdecznie.



- Ależ ona ma tempo! - Lisa popatrzyła na Jeremy'ego. - Widzi pan, jak to dziecko pana kocha?

Jeremy uśmiechnął się uszczęśliwiony. - Aha, Liso... - Jeremy zamilkł na chwilę. Lisa wstrzymała oddech.

- Liso, chciałbym panią przeprosić za... za to, co wydarzyło się tydzień temu. Uległem nastrojowi chwili. A przede wszystkim zapomniałem, że dla Karoliny pewnie nie byłoby dobre, gdybyśmy my oboje... Wie pani, o co mi chodzi. Proszę, Liso, niech mi pani wybaczy!

Lisa poczuła z jednej strony ulgę, z drugiej jednak uczucie pustki. Myśl, że Jeremy nigdy więcej nie weźmie jej w ramiona, wcale jej się nie podobała. Rozzłoszczona na własne myśli potrząsnęła głową. - Jestem tak samo winna, jak pan, Jeremy. - Wzruszyła ramionami. - Ale nie powinniśmy robić afery państwowej z kilku niewinnych pocałunków.

Jeremy przyjrzał się jej z zastanowieniem. - Ma pani rację, Liso. Może nadałem temu wszystkiemu zbyt wielkie znaczenie. Niech pani powie, nie miałyby pani ochoty na drugą lekcję jazdy konnej?

- Czemu nie? Jeśli Maisie nie będzie miała nic przeciwko temu... - Uśmiechnęła się, starając się ukryć swoje uczucia.

- To wspaniałe, Liso! - Karolina mieszała w misce mąkę, cukier, jajka i masło na gładkie ciasto. - Nigdy nie pomyślałabym, że pieczenie ciastek jest takie fajne. Ojej, nos mnie swędzi! - Podrapała się palcem umazanym ciastem. - Ile kakao mam odmierzyć?

- Ach, nie musimy być takie dokładne. Zrobimy według własnego przepisu: tyle kakao, żeby ciasto miało czekoladowy kolor. - Lisa oderwała kawałek papierowego ręcznika z rolki. - Wyglądasz jak clown, mój skarbie - powiedziała ze śmiechem i starła ciasto z nosa Karoliny. - Następnym razem pokażę ci, jak się piecze ciasteczka z rodzynkami.

- O, tak! Kiedy to będzie? Niedługo?

- Na pewno. Musimy tylko uważać, żebyśmy zostawiły kuchnię pani van Home w idealnym porządku, bo w przeciwnym razie więcej nas tu nie wpuści.

- Liso?

- Tak?

- Liso, pani zawsze chodzi do kościoła w mieście...

- Tak, dlaczego pytasz?

- Czy mogę... Zabrałaby mnie pani kiedyś ze sobą?

Lisa zawahała się. - Karolino, ja... porozmawiam na ten temat z twoim wujem. Jeśli on pozwoli, to możesz ze mną pójść.

- Tam nikt mnie nie zna. Nikt nie będzie szeptać za moimi plecami: „Idzie Karolina Winthrop, to biedne dziecko”. Och, Liso, nienawidzę tych współczujących mi!

Lisa wsunęła blachę do piekarnika. - Ci ludzie nie chcą ci sprawić bólu, skarbie.

- Ale mówią o mnie. Ostatnio słyszałam nawet, jak jakaś pani powiedziała: „Biedna mała, nawet do szkoły nie wolno jej chodzić”. Dlaczego nie mogę chodzić do szkoły jak inne dzieci?

Lisa zmarszczyła czoło. - Może wkrótce będziesz mogła pójść. Także o tym musimy porozmawiać z twoim wujem.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł Jeremy. - Ktoś tu o mnie mówił?

- Cześć, wujku Jeremy. Chcesz ciastko? Są jeszcze ciepłe. Lisa powiedziała, że mogłabym wkrótce pójść do szkoły.

- Tak? - Jeremy wziął ciastko i spróbował. - Pomagałaś Lisie przy pieczeniu, Karolino?

Karolina skinęła z zapalem. - Tak, a ty jesteś pierwszym, który może skosztować. Ciastka są dobre, prawda? - Spojrzała w oczekiwaniu na pochwałę.

- Pyszne! - Jeremy uśmiechnął się. - A co z tą szkołą? Mówiłem ci przecież, że zapisałem cię do Akademii Świętej Małgorzaty w Vermont, prawda?

- Ale ja nie chcę... to znaczy, wolałabym tutaj chodzić do szkoły, razem z innymi dziećmi, które co rano czekają na przystanku autobusowym.

Jeremy pogładził ją po głowie. - Karolino, wiesz, że być może... będziesz musiała wrócić do Viviane.

- Wiem - odpowiedziała Karolina niechętnie.

- A jeśli teraz pójdziesz tu do szkoły, to może się zdarzyć, że będziesz musiała przerwać w środku roku szkolnego, bo Viviane zabierze cię do San Francisco.

Karolina podniosła głowę. - Ale nawet jeśli nie będę u Viviane, ty przecież i tak chcesz mnie wysłać do Vermont, wujku Jeremy. Prawda? Mam być daleko stąd, daleko od ciebie, od pani van Home i... i od Lisy.

Jeremy przykląkł przed dziewczynką i wziął ją za rękę. - Karolino, Lisa nie zostanie u nas na zawsze, wiesz o tym. Ja też lubię Lisę i jestem przekonany,

że na zawsze pozostanie naszą przyjaciółką, ale wróci do swojego mieszkania, gdy sąd podejmie decyzję, kto ma się tobą opiekować.

- Wiem, ale... - Łzy potoczyły się nagle po policzkach Karoliny. - Och, wujku Jeremy, dlaczego wszyscy ludzie zawsze muszą odchodzić? Wszyscy Judzie, których lubię, zostawiają mnie samą. Ja... ja tak bardzo chciałabym, żeby było tak, jakby Lisa miała zostać. Chciałabym chodzić do szkoły... Och, wujku Jeremy, dlaczego to jest niemożliwe?

- Karolino, kochanie, proszę... Co mam ci na to odpowiedzieć? Karolina rozszlochała się. Przytuliła się do niego i ukryła twarz na jego ramieniu.

Serce ścisnęło się Lisie ze współczucia. Także ona była bliska łez. W pewnym sensie czuła się współwinna rozpacz dziecka. Ale co mogła zrobić? Jeremy miał przecież rację, Lisa nie mogła być dla dziewczynki nikim więcej niż przyjaciółką.

Jeremy głaskał małą po włosach i przemawiał do niej uspokajająco. Gdy rozpaczliwy szloch dziecka stopniowo ustąpił, wyjął z kieszeni chusteczkę i delikatnie otarł jej łzy z policzków.

- Wiesz co? Myślę, że mogłabyś od następnego poniedziałku pójść jednak do szkoły, Karolino. Rok szkolny dopiero co się zaczął, więc niewiele stracisz. Pomogę ci nadrobić zaległości, jeśli to będzie potrzebne. - Pocałował ją w czoło. - No, jak ci się podoba ten pomysł, kochanie?

Oczy Karoliny rozszerzyły się ze zdumienia. - Słyszałaś, Liso? - szepnęła. - Mogę iść do szkoły!

- To wspaniale, Karolino. Mam dla ciebie propozycję. Gdy tylko skończymy z pieczeniem, pójdziemy do twojego pokoju i wybierzemy ubranie, które włożysz do szkoły. Chcesz?

- Tak. Ale myślę, że wiem, co chciałabym włożyć... dzinsową spódnicę.

- Dzinsową spódnicę na pierwszy dzień w szkole? - Jeremy zmarszczył nieufnie czoło. - Nie sądzisz, że ładniej wyglądałabyś w jakiejś sukience? Co myślicie o tym, żebyśmy w najbliższych dniach wybrali się wszyscy razem na zakupy i sprawili ci kilka nowych sukienek do szkoły?

Karolina skinęła zachwycona. - O tak, Lisa też mogłaby z nami pojechać. - Klasnęła w dłonie. - Kiedy jedziemy? Nie mogę się doczekać.

- Musimy dostosować się do Lisy, jeśli rzeczywiście zechce się z nami wybrać. Mogłaby pani w piątek wieczorem? A może ma już pani jakieś plany?

Lisa potrząsnęła głową. - Nie, nie mam żadnych planów.

- Więc zgodziłaby się pani towarzyszyć nam?

Zawahała się na moment i spojrzała na Karolinę. Potem skinęła.

- Zarezerwuję sobie czas na piątkowy wieczór.

Znowu przeszedł ją ten dziwny dreszcz, gdy ona i Jeremy spojrzeli sobie w oczy. Ucieszyła się, że musi właśnie wyjąć ciastka z piekarnika.

- Dziękuję, wujku Jeremy. Dziękuję za te wszystkie przepiękne rzeczy, które mi kupiłeś. - Karolina rzuciła się Jeremy'emu na szyję i pocałowała go w policzek. Potem zaczęła ziewać, bo zrobiło się dość późno, a zakupy były nieco męczące.

Jeremy patrzył na dziewczynkę w milczeniu i Lisie wydawało się, że myślami jest gdzieś daleko. - Karolinko, moja kochana Karolinko

- szepnął.

Karolina z uśmiechem popatrzyła na Jeremy'ego i Lisę. - Wiecie, co jest najpiękniejsze w tym wszystkim? Dzisiaj byliśmy jak prawdziwa rodzina. To tak... To prawie tak jak kiedyś z mamą i tatą.

Lisa spuściła głowę.

Jeremy przycisnął Karolinę do siebie. ~ My cię bardzo kochamy, Karolinko. Lisa i ja, oboje bardzo cię kochamy. - Podniósł wzrok na Lisę. - A teraz, moja panno, życzę ci dobrej nocy. Miłych snów.

- Pocałował Karolinę w policzek.

- Dobranoc, wujku Jeremy. - Przytuliła się jeszcze raz do niego, a potem podeszła do Lisy.

- Dobranoc, Liso. Czy mogę... panią też pocałować na dobranoc?

- Naturalnie, Karolino. - Lisa pochyliła się. - Dobranoc. Dziewczynka dotknęła czubkami palców jej policzka, a potem pocałowała ją szybko i wybiegła z pokoju.

- No i minął już prawie miesiąc, odkąd byliśmy z wujkiem Jeremym w Bostonie na zakupach. - Karolina westchnęła teatralnie.

Lisa skinęła pogrążona w myślach. - Tak, Karolino, i prawie cztery tygodnie chodzisz już do szkoły.

- Nadrobiłam już ten materiał, który opuściłam. Już prawie zrównałam się z innymi dziećmi. A w przyszłym tygodniu robimy dekoracje do auli na Święto Dziękczynienia. Nasza klasa została wylosowana.

- Gratuluję. Zastanowiłaś się, jak się przebierzesz?

- Na Święto Dziękczynienia? Chyba pani nie słuchała, o czym mówię.

- Masz rację, Karolino. Przepraszam. Byłam myślami gdzie indziej. Wiesz, nadal nie mamy schronienia dla Patsy i innych bezdomnych, a na dzisiejszą noc jest zapowiadany silny mróz.

- Czy oni nie mają żadnych przyjaciół ani znajomych?

- Owszem. Tylko ci przyjaciele są tak samo biedni, jak oni. Oni też nie mają żadnego ciepłego schronienia.

- Jak wiele dzieci w slamsach El Salvador. Ale tam przynajmniej nie jest zimno.

Lisa westchnęła. - Wszędzie na świecie jest tyle nędzy, Karolino. Nie wiadomo, gdzie najpierw pomagać.

Karolina skinęła poważnie, a potem podniosła wzrok na Lisę. - Ja też chętnie bym pomogła, ale pewnie jestem za mała.

Lisa uśmiechnęła się. - To miło z twojej strony, że martwisz się o innych. Ktoś taki jak ty mógłby się przydać w gminie kościelnej, w której czasami pracuję w weekendy.

- Naprawdę, Liso? Kiedy mogę z panią, pójść? Obiecała pani porozmawiać z wujkiem Jeremym.

Lisa skinęła. - Może pojechałabyś ze mną dzisiaj po południu? Dzieci mają bal przebierańców. Zaraz pójde i spytam twojego wuja o pozwolenie.

- Świetnie! Ale w takim razie rzeczywiście potrzebuję przebrania.

- Karolina podniecona przestępowała z nogi na nogę.

- Jasne. Najlepiej zastanów się, jak chciałabyś się przebrać, a ja poszukam twojego wuja.

- Och, myślę, że już wiem, co włożę... - Karolina pobiegła na górę do swojego pokoju. Lisa popatrzyła za nią z uśmiechem i wstała, by poszukać Jeremy'ego.

- Liso? - Mała rączka wsunęła się nieśmiało w dłoń Lisy. - Jak sądzisz, co wujek Jeremy powie na to, że mówię do ciebie na ty?

- Karolina zatrzymała się i spojrzała z obawą na Lisę.

- Nie myślę, żeby miał coś przeciwko temu, Karolino. - Lisa uśmiechnęła się i ucisnęła dłoń dziewczynki.

- Liso, czy myślisz, że Maria mnie lubi? Wiesz, że ona mieszka w takim domu, gdzie ludzie nocują w wieloosobowych sypialniach? Ona mieszka tam ze swoimi rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa. Czy to nie straszne?

- Rodzice Marii są biedni. Nie mają pieniędzy na czynsz. Ale Maria jest miłą dziewczynką. Myślę, że cię polubiła.

- Przyjęcie było wspaniałe. Słyszałaś, jak rozmawiałam z niektórymi dziećmi po hiszpańsku? Nagle przypomniałam sobie mnóstwo słów, których nauczyłam się w El Salvador. Popatrz, pani van Home otwiera nam drzwi.

Podbiegnijmy ten kawałek. Chcę jej opowiedzieć o zabawie. - Karolina pociągnęła Lisę za sobą i przebiegły ostatnie metry do domu.

- Dobry wieczór. - Pani van Home przywitała je uśmiechem. - Już z daleka widać, że dobrze się bawiłaś, Karolino. Jesteś wspaniałą czarownicą, trzeba przyznać.

- Ale Lisa jako szmaciana lalka też wygląda nieźle, prawda?

- Pewnie. Wygląda bardzo dobrze z tymi śmiesznymi sterczącymi warkoczykami i wymalowanymi piegami.

- A teraz przywitamy się z wujkiem Jeremym. - Karolina skinęła na Lisę. - Niech też zobaczy, jak wspaniale się przebrałyśmy.

- Nie, Karolino, nie przeszkadzaj teraz wujkowi! Jest zajęty. - Pani van Home stanęła dziewczynce na drodze.

- Nie zajmujemy panu Winthropowi dużo czasu. Na pewno nie urwie nam głowy, jak pokażemy się mu na chwilę. - Lisa mrugnęła do Karoliny i skierowała się do gabinetu Jeremy'ego.

- Proszę, Liso, myślę, że to nie jest odpowiedni moment...

- Ach, pan Winthrop może z pewnością na chwilę przerwać pracę. - Zapukała do drzwi. - Jeremy, wróciłyśmy z balu przebierańców. Możemy wejść na chwilę?

Karolina nawet nie czekała na odpowiedź wuja. Chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi. - Musisz koniecznie zobaczyć nasze kostiumy, wujku Jeremy - zawołała wesoło i wpadła do pokoju.

Lisa weszła za nią powoli.

- Czy twoja macocha też może obejrzeć kostium, Karolino? - zabrzmiał z głębi pokoju chłodny damski głos.

Karolina zatrzymała się nagle. - To... to ty, Viviane?

- Tak, skarbie, cieszysz się? Pozwól, że cię obejrzę! - Szczupła piękność z płomiennorudymi włosami, która siedziała obok Jeremy'ego na kanapie, odstawiła szklanekę i pochyliła się do przodu. - Do licha, skarbie, twoja opiekunka rzeczywiście zadała sobie sporo trudu, twój kostium jest wspaniały.

- Viviane, pozwól. Czy mogę ci przedstawić panią Lisę Conti? Pracuje w agencji socjalnej i zajmuje się Karoliną. Przekazałem ci przez moją prawniczkę, że pani Conti wprowadziła się na mansardę. - Jeremy był najwidoczniej zmieszany. - Liso, chciałbym panią poznać z panią Viviane Monteith-Winthrop, moją bratową i macochą Karoliny.

- Dobry wieczór, pani Winthrop. - Lisa z trudem zdobyła się na uśmiech. Spojrzała na swój strój. Że też właśnie w tym śmiesznym kostiumie musiała po raz pierwszy spotkać się z macochą Karoliny. Co Viviane sobie o niej pomyśli? - Proszę nam wybaczyć, że tak wpadliśmy poprzebierane bez zapowiedzi.

Viviane skinęła jej łaskawie. - Och, pani Conti, każdy może się ubierać, jak chce. - Z promiennym uśmiechem zwróciła się do Karoliny. - Karolino, skarbie, nie pocałujesz mnie na dzień dobry? Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Karolina z wahaniem podeszła do macochy. - Cześć, Viviane - powiedziała cicho i dotknęła ustami jej policzka.

Lisa poczuła nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Nie podobał jej się widok tej kobiety obejmującej Karolinę. Chociaż było to głupie uczucie, miała wrażenie, że Viviane Winthrop jest dla niej zagrożeniem, że chce jej coś odebrać. Zmusiła się do przypomnienia sobie, że Viviane nie może jej niczego odebrać. Lisa nie mogła mieć żadnych roszczeń dotyczących Karoliny-

- Wybaczą mi państwo - powiedziała cicho. - Chciałabym się przebrać. - Odwróciła się i pospiesznie wyszła z pokoju.

## ROZDZIAŁ 6

- Znajdziesz dla mnie kilka minut, Marto? Muszę z tobą porozmawiać. - Lisa zamknęła za sobą drzwi.

- Ależ, Liso, dla ciebie zawsze mam czas, wiesz przecież. Chodź, siadaj! - Marta Reilly wskazała jej krzesło po drugiej stronie swojego biurka i Lisa usiadła. - I tak cały czas czekam, żebyś mi opowiedziała o najnowszych wydarzeniach w sprawie Winthropów.

- Ależ przecież dałam ci sprawozdania, łącznie z moim szczegółowym stanowiskiem...

- Nie zrozumiałaś mnie, Liso. Z twojej pracy jestem bardzo zadowolona. Ale martwię się o ciebie. Wykańczasz się przy tej sprawie. Spójrz w lustro. Te ciemne obwódki pod oczami mówią same za siebie. Obawiam się, że podchodzisz do tej sprawy zbyt emocjonalnie. Inwestujesz za dużo uczucia, zwłaszcza gdy chodzi o to dziecko. Tymi historiami, które\* mi w ostatnich tygodniach opowiadałaś o Karolinie, mogłabym zapełnić tomy. Ale jedno mnie dziwi. O tym atrakcyjnym wuju mówisz niezwykle rzadko. Podejrzenie rzadko. Zastanawiałam się już, co się za tym kryje. Przyszły mi do głowy dwie możliwości, które mogą wchodzić w rachubę. Albo prawie cię nie zauważa, albo... interesuje się tobą, może nawet bardziej niż byś chciała?

Lisa starała się unikać jej badawczego wzroku. Jak wielokrotnie wcześniej, Marta trafiła w samo sedno. Miała niezwykle wycucie ukrytych nastrojów i niewypowiedzianych słów i obnażała wszystko w bardzo bezpośredni sposób. Ludzie, którzy nie byli na to przygotowani, reagowali zwykle wtedy urazą.

- Chcę być szczerą, Marto. Z dnia na dzień coraz trudniej mi jest pozostawać bezstronną. Przede wszystkim od przybycia Viviane Winthrop.

- Viviane Winthrop jest w mieście?

- Tak i mieszka z nami, w jednym z pokoi gościnnych. Na jutro umówiłam się z nią w biurze.

- Od kiedy tu jest?

- Od sobotniego wieczoru. Gdy wróciłam z Karoliną z balu przebierańców, siedziała u Jeremy'ego w gabinecie. Wpadłyśmy tam w przebraniach. Czułam się głupio w tym śmiesznym przebraniu, a Karolina... Zupełnie nie wiem, jak ona odczuła to spotkanie. Od tamtego czasu niewiele mówi.

- Ta kobieta nic nie mówiła, że przyjedzie. Uwierz mi, Liso, natychmiast bym cię zawiadomiła!

- Przecież nie robię ci żadnych wyrzutów, Marto.



- A co mówi pan Winthrop na całą tę historię? Masz wrażenie, że spodziewał się jej przyjazdu?

- On twierdzi, że jest tak samo zaskoczony jej nagłym pojawieniem się, jak my wszyscy. W każdym razie od jej przyjazdu w domu panuje dość napięta atmosfera.

Marta zapaliła papierosa i przyglądała się Lisie z zastanowieniem. - Mam nadzieję, że nie zapomniałaś, iż w każdej chwili możesz opuścić dom Winthropów, jeśli poczujesz, że nie możesz sprostać podwójnemu obciążeniu.

- To nie będzie konieczne, dam sobie radę.

- Jak długo Viviane Winthrop tam zostanie?

- Ani ona, ani Jeremy jak dotąd nie wypowiedzieli się w tej sprawie. A ja chyba nie mam prawa o to pytać. - Westchnęła. W ostatnich dniach często zastanawiała się, dlaczego właśnie los Karoliny tak bardzo bierze sobie do serca.

- Mogę ci dać tylko jedną radę, Liso. Nie bierz niczyjej strony, nie pozwól za żadną cenę, żeby któraś ze stron w jakikolwiek sposób na ciebie wpływała i... na miłość boską, wyłącz swoje uczucia z tej sprawy.

Lisa zaczerwieniła się. Tą ostatnią uwagą Marta dotknęła czegoś, co ją samą też niepokoiło od dłuższego czasu. Czy nie wplotła się zbyt głęboko w losy tej rodziny, żeby móc nadal pozostać neutralną? Czy już od dawna nie stoi sercem po jednej stronie? Po stronie Karoliny, ale także po stronie Jeremy'ego?

Przypomniała sobie to uczucie, które ogarniało ją za każdym razem, gdy widziała Jeremy'ego razem z Viviane, dziwne, bolesne uczucie. Czy to zazdrość? Lisa nie była pewna. Wiedziała jedno: to uczucie sprawiało, że w roli neutralnej obserwatorki była coraz bardziej niepewna. Przed Martą przemilczała to wszystko. Marta od razu by jej powiedziała, że jest zazdrosna, bo zakochała się w Jeremym. Czyż mogła jednak temu zaprzeczyć? Lisa wstała. - Dziękuję, Marto - powiedziała cicho. - Spróbuję posłuchać twojej rady.

Następnego ranka Lisa oczekiwała Viviane w swoim biurze. Jeszcze raz przejrzała dokładnie cały materiał, dotyczący sprawy Karoliny Winthrop. Potrząsnęła głową, gdy uświadomiła sobie, że już od dawna stoi po stronie Jeremy'ego. I wiedziała, że to stanowisko automatycznie powoduje jej niechęć do Viviane, chociaż żadna z posiadanych informacji nie wskazywała na to, że macocha mniej nadaje się do sprawowania opieki nad dzieckiem niż wuj.

Viviane przyszła punktualnie co do minuty. Miała na sobie niezwykle skromny beżowy kostium i buty na niewysokim obcasie. Sprawiała wrażenie eleganckiej i pewnej siebie.

Lisa przywitała ją uprzejmie i wskazała jej fotel. Viviane usiadła, nagle zniknął jej pełen wyższości uśmiech. Nerwowo zaczęła kręcić obrączkę na palcu.

- Pani Winthrop - zaczęła Lisa - jeśli się pani zgodzi, to chciałabym zrezygnować ze zwykłych pytań na temat pani dochodów, pracy, mieszkania i wszystkiego, co się z tym wiąże. Ponieważ pani prawnicy zaopatrzyli mnie w niezbędne informacje, jestem z grubsza zorientowana w pani warunkach życia. Jak już powiedziałam podczas pierwszej rozmowy Jeremy'emu, panu Winthropowi, sąd jest zainteresowany przede wszystkim tym, kto z otoczenia dziecka najlepiej nadaje się na opiekuna, to znaczy kto jest gotów obdarzyć je bezwarunkowym uczuciem. Warunki finansowe nie są w takim przypadku najistotniejszym kryterium. - Lisa spojrzała ukradkiem na Viviane, by przekonać się, czy ta zauważyła, iż nazwała swego klienta po imieniu. Jednak wyraz twarzy Viviane Winthrop nie zmienił się. Jej głos brzmiał bardzo rzeczowo, gdy odpowiedziała Lisie:

- Ale ten punkt z pewnością też zostanie uwzględniony. Bez wątplenia dowiedziała się pani od mojego szwagra, że ja nie dysponuję nieograniczonymi środkami. Lubię cieszyć się życiem i wydawać pieniądze. Oszczędzanie i skąpstwo nie leżą w mojej naturze, chcę być zupełnie szczerą. I dlatego Jeremy sądzi, że zależy mi na zdobyciu majątku Karoliny. Nie owijajmy niczego w bawełnę, Liso. Wiem, jak się sprawy mają.

W pierwszej chwili Lisie odebrało mowę. Wszystkiego by się spodziewała, ale nie takiej bezpośredniości.

- Niech mi pani pozwoli podkreślić jedno, Viviane. Wątpliwe twierdzenia i niesprawdzalne dane mogą pojawić się po obu stronach i naturalnie mają one na celu postawienie siebie w lepszym świetle i wywarcie korzystnego wrażenia przed sądem. Oboje jesteście przywiązani do dziecka i każde z was rości sobie prawa do opieki. Pokusa zdobycia przewagi za pomocą wszelkich możliwych środków jest ogromna. Ale zapewniam panią, że ja - zajmując stanowisko w tej -sprawie - nie będę brać pod uwagę ani pogłosek czy plotek ani nie udowodnionych twierdzeń którejkolwiek ze stron.

- Ale mieszka pani w domu Wintbropów...

Na policzki Lisy wypłynął ciemny rumieniec. - Karolina potrzebowała kogoś, kto zatroszczy się o nią, gdy Jeremy jest poza domem. Gdy tylko sąd wyda orzeczenie, wyprowadzę się.

Viviane skinęła pograżona w myślach. - Myślę, że pani jest uczciwa, Liso. Proszę mi wybaczyć te insynuacje... Ale proszę zaznaczyć także w swoim sprawozdaniu, że Karolina nie będzie potrzebować opiekunki, jeśli zamieszka u mnie. Zamierzam samodzielnie troszczyć się o dziecko.

- Czy to oznacza, że w czasie sezonu gry w polo będzie pani zabierać Karolinę ze sobą w swoje liczne podróże?

- Wycofałam się już z niektórych podjętych zobowiązań i jestem gotowa dla dobra dziecka jeszcze bardziej ograniczyć moje zajęcia sportowe, a może nawet całkowicie z nich zrezygnować.

- A jak wyobraża sobie pani kształcenie Karoliny?

- Po pierwsze zatrudnię prywatnego nauczyciela... może Karolina mogłaby wtedy już od zimy uczęszczać do dobrej prywatnej szkoły... w każdym razie zdecydowanie odrzucam szkołę publiczną. Nie rozumiem po prostu, skąd Jeremy'emu przyszło do głowy posłać Karolinę do publicznej szkoły. Poziom jest tam tak niski, że później wiele wysiłku będzie ją kosztować sprostanie wyższym wymaganiom renomowanej szkoły prywatnej.

Lisa milczała i robiła notatki.

- Bardzo wiele rozmyślałam nad przyszłością Karoliny - ciągnęła dalej Viviane. - Będą ją uczyć tylko najlepsi nauczyciele. Ubrania zamówię jej u słynnych projektantów. Karolina powinna kiedyś zająć taką pozycję społeczną, jaka jest dla niej właściwa ze względu na urodzenie. Myślę, że jestem to winna temu biednemu dziecku i Walterowi.

Lisa patrzyła na piękną młodą kobietę nieobecny spojrzeniem. Tak samo jak Viviane myślała przed laty matka Lisy. Jej jedyna córka miała osiągnąć w swoim życiu wszystko to, co jej samej się nie udało. „Otrzymasz najlepsze wykształcenie, moje dziecko, kupię ci najelegantszą garderobę. Przewyższysz wszystkie inne dziewczynki, kochanie”

- zabrzmiały jej nagle w uszach słowa matki. „Najbogatsi młodzi mężczyźni z towarzystwa będą szaleć za tobą i żaden ci się nie oprze. Ty, Liso, będziesz prowadzić takie życie, o jakim ja tylko mogłam marzyć!”

Matka Lisy postępowała dokładnie tak samo, jak zamierzała Viviane. Chciała zapewnić swojemu dziecku życie w luksusie i beztrójce, otworzyć wszystkie drzwi i usunąć z drogi wszystkie trudności. Ale czy Lisa była dzięki temu szczęśliwa?

- Liso? Słucha mnie pani?

Lisa oderwała się od wspomnień. - Och, przepraszam, Viviane, zamyśliłam się na moment. Proszę mówić dalej.

- Co mam jeszcze powiedzieć? Kochałam mojego męża i w godzinie jego śmierci obiecałam mu... - Usta Viviane zadrżały. Odwróciła twarz.

- Dałam Walterowi słowo, że będę dbać o Karolinę. I dotrzymam swojej obietnicy. Mój pozbawiony serca szwagier nie dostanie dziecka! Nie dopuszczę do tego! Nigdy! - Viviane rozszlochała się.

Lisa zamknęła notatnik. Ze współczuciem patrzyła na swoją rozmówczynię. - Czy chciałaby pani zostać na chwilę sama? - spytała cicho.

Viviane potrząsnęła głową. - Nie. Już w porządku.

- Na dziś nie mam już więcej pytań, Viviane. Dziękuję pani za gotowość do współpracy. - Lisa uśmiechnęła się.

Viviane wstała. - A ja dziękuję pani za zrozumienie, Liso. Do widzenia.

- Do widzenia, Viviane.

W sobotni wieczór Lisa usłyszała pukanie do drzwi swojej mansardy.

- Proszę.

Drzwi lekko się uchylily i Karolina wsunęła głowę do środka. W rękach trzymała pandę z pluszu.

- Weźmiesz mnie na zebranie kościelne, Liso?

- Nie wychodzisz dzisiaj z Viviane i wujkiem, Karolino?

Za dziewczynką pojawił się Jeremy. - Wszystko w porządku, Liso - powiedział. - Karolina cały czas wspomina bał przebierańców, więc pomyślałem, że mogłaby ją pani dzisiaj znowu wziąć ze sobą. Naturalnie jeśli to pani nie sprawia kłopotu.

- Przeciwnie. - Lisa uśmiechnęła się. - Cieszę się. Ale nie wrócę przed wieczorem. Pomagam przy przygotowaniach do obiadu, który wydajemy raz w tygodniu bezpłatnie dla naszych potrzebujących członków gminy. To się prawdopodobnie skończy dość późno...

- Czy to znaczy, że nie mogę iść, wujku Jeremy? - spytała Karolina nieśmiało.

- Nie bój się, Karolino. Możesz pójść z Lisą. Może nawet przydasz jej się do pomocy. A teraz opowiedz jej, dlaczego przyniosłaś ze sobą misia.

- Chcę go podarować Marii. Bo ona nie ma żadnej zabawki, która należałaby tylko do niej. Chciałabym, żeby Maria została moją przyjaciółką.

- Karolino, nie musisz jej dawać prezentów, żeby cię lubiła. Podobasz jej się taka, jaka jesteś. Wiesz, mam lepszy pomysł. Maria nie jest jedynym

biednym dzieckiem, które nie ma własnych zabawek. A gdybyś tak po prostu posadziła misia w świetlicy, gdzie wszystkie dzieci mogłyby się nim bawić?

Karolina skinęła zachwycona. - Świetnie!

- Ale musimy go tam przenieść w tajemnicy. Jeśli dzieci dowiedzą się, że przyniosłaś im prezent, też zechcą ci coś dać, a nie mają żadnych rzeczy, które mogłyby oddać. Wtedy byłoby im przykro.

- Nie, do tego nie możemy dopuścić. Nikt nie może się dowiedzieć, że to ode mnie.

- Masz dobre serce, Karolinko. - W głosie Jeremy'ego słychać było wzruszenie. Objął dziewczynkę czule i pocałował ją w policzek. - Życzę ci miłego dnia, kochanie. Sprawuj się dobrze i słuchaj Lisy!

- Słowo honoru, wujku Jeremy. - Dziewczynka zaśmiała się. - Ty też sprawuj się dobrze, gdy nas nie będzie!

- Nie ma obawy, wszystko będzie w porządku. A teraz weź kurtkę i idź na dół. Chcę jeszcze porozmawiać z Lisą na osobności.

Lisa wręczyła Karolinie kluczyki do samochodu. - Schowaj misia na tylnym siedzeniu i usiądź w samochodzie. Tylko nie zapomnij zapiąć pasów.

- Jasne! Zaczekam w samochodzie. Cześć, wujku Jeremy.

Od przyjazdu Viviane Lisa i Jeremy zamienili ze sobą ledwie kilka słów. Teraz Lisa spojrzała na niego badawczo. Jego twarz była napięta i zmęczona, a spokój i pogoda ducha wydawały się tylko grą pozorów.

- Rozmawiała pani z Viviane w swoim biurze, prawda? Lisa skinęła i skrzyżowała ręce na piersiach. - Tak.

- Przypuszczam, że była pewna siebie, urocza i opanowana i przedstawiła pani w różowych barwach przyszłość Karoliny u swego boku... Sama przed sobą udaje kochającą macochę.

- Jeremy, nie mogę i nie chcę udzielać żadnych informacji na temat mojej rozmowy z Viviane. Musi pan to zrozumieć.

- Ta źmija już i panią owinęła sobie wokół palca. Każdego potrafi oszukać co do swoich prawdziwych motywów. Mój biedny, łatwowierny brat też stał się jedną z jej ofiar.

- Proszę, Jeremy, nie chcę tego słuchać. - Lisa wyprostowała się. - Pańska bratowa przedstawiła mi swoją sytuację finansową, niczego nie upiększając. I myślę, że myli się pan sądząc, iż Viviane jest pozbawioną serca, wyrachowaną kobietą. Gdy wspomniałam o jej zmarłym mężu, wybuchnęła płaczem. Zakończyłam naszą rozmowę, żeby jej niepotrzebnie nie dręczyć.

Jeremy milczał przez chwilę. - Może jestem wobec niej niesprawiedliwy - mruknął potem. - Sądzę, że nawet Viviane nie jest w stanie produkować łoża na zamówienie.

Może nie powinien pan podchodzić do swojej bratowej z taką nieufnością, Jeremy. Trochę mniej napięcia w waszych wzajemnych stosunkach nie byłoby też bez znaczenia dla Karoliny. Dziecko bardzo dobrze wyczuwa tę wrogość, która między wami panuje. Dlaczego nie spróbuje pan cierpliwie poczekać na rozwój wypadków, opanować się i ukryć swój strach?

Jeremy podszedł bliżej. - Czy w taki sposób pani postępuje z nieprzyjemnymi sprawami? Nigdy nie próbowała pani walczyć z losem? Czy rzeczywiście sądzi pani, że dobrze byłoby schować głowę w piasek i po prostu odczekać? Uważam to za głupotę i tchórzostwo.

Lisa drgnęła, słysząc jego słowa. Poczowała, jak rumieniec wypływa jej na policzki. Co mu przyszło do głowy, żeby tak z nią rozmawiać? I kto dał mu prawo podejść do niej tak blisko, że czuła jego oddech na swojej twarzy? Kto mu dał prawo wzbudzać w niej takie podniecenie? Ta ostatnia myśl przeraziła ją tak bardzo, że serce zaczęło jej bić szybciej.

- Liso... - Brzmienie głosu Jeremy'ego przywróciło ją do rzeczywistości. - Liso, przepraszam panią. Nie chciałem tego powiedzieć. Jestem rozdrażniony i straciłem panowanie nad sobą.

- Już dobrze. - Lisa wyprostowała się. - Chciałam pana tylko ostrzec. Niech pan będzie ostrożny ze swoimi wypowiedziami wobec Karoliny. Pańskiej bratowej dałabym zresztą tę samą radę, gdyby stała tu zamiast pana. Dla Karoliny ten okres od Śmierci ojca jest rozpaczliwym koszmarem, którego nie zapomni do końca życia. Dziewczynka jest rozdarta w swoich uczuciach wobec pana i Viviane. Jeśli teraz każde z was spróbuje jeszcze buntować ją przeciwko drugiej stronie, to może zupełnie zwariować od tego wszystkiego.

- Żeby ten koszmar się wreszcie skończył... - Jeremy wziął Lisę za rękę. Jego dotyk sprawił, że zrobiło się jej gorąco. - Proszę mi powiedzieć, że mi pani wybacz.

Lisa uwolniła rękę z jego uścisku i skierowała się w stronę drzwi. -Już o wszystkim zapomniałam, Jeremy. Do widzenia. Karolina na mnie czeka.

- Do zobaczenia wieczorem, Liso.

Kolejka bezdomnych, oczekujących na plebanii na ciepły posiłek, wydawała się Lisie dłuższa niż kiedykolwiek przedtem. Dla większości z nich ten cotygodniowy darmowy posiłek był jedyną okazją, by zjeść coś ciepłego, spotkać się z innymi ludźmi i mieć przez chwilę poczucie bezpieczeństwa.

Lisa przerwała na chwilę swoje zajęcie i rozejrzała się za Karoliną. W przeciwnym kącie sali, gdzie były stoły dla dzieci, dostrzegła swoją pupilkę z jasnymi warkoczami. Karolina rozdawała miseczki z budyniem czekoladowym. Rozmawiała ożywiona z Marią, która jej pomagała. Wyglądało, jakby obie wobec potrzeb innych zapomniały o własnych troskach, przynajmniej na pewien czas. Lisa uśmiechnęła się i ponownie skupiła się na swoich obowiązkach.

- Zmęczona? - Lisa otworzyła drzwi samochodu i wpuściła Karolinę do środka.

Dziewczynka ziewnęła. - Trochę. Ale było fajnie. Słyszałaś, jak siostra Marii nazwała misia? - Zachichotała. - Pedro. Czy to nie brzmi śmiesznie?

Lisa zaśmiała się. - Bardzo śmiesznie. Spojrzała na zegarek. - Dobry Boże, już prawie dziewiąta.

- Ale wujek Jeremy wie, gdzie ja jestem. Czy w przyszłym tygodniu znowu będę mogła z tobą pojechać?

- Musimy zapytać twojego wujka. - Lisa uruchomiła samochód i wyjechała na ciemną drogę. - Karolino?

Z tylnego siedzenia słychać było tylko równomierny oddech dziewczynki. Lisa przyciszyła radio.

Pół godziny później dojechały do posiadłości Jeremy'ego. W żadnym oknie nie było widać światła. Było cicho i wydawało się, jakby nikogo nie było w domu. Lisa delikatnie obudziła Karolinę i zaprowadziła ją do pokoju. Potem skierowała się na swoją mansardę.

Nagle trzasnęły jakieś drzwi. Słychać było szybkie kroki zmierzające w jej stronę.

- Jest pani wreszcie, Liso! - Viviane dogoniła ją. - Co pani sobie myśli, żeby przez cały dzień trzymać Karolinę z dala ode mnie? Dzisiaj w nocy wyjeżdżam i chciałam spędzić z Karoliną kilka godzin, a przede wszystkim pożegnać się z nią.

Lisa zdziwiła się. - Skąd miałam wiedzieć, że pani wyjeżdża, Viviane? Gdybyście pani albo Jeremy powiedzieli o tym choć słowo, nie zabrałabym ze sobą Karoliny. Ale przecież nie miałam pojęcia...

- Czy to był jego pomysł?

Lisa starała się unikać badawczego spojrzenia Viviane. Milczała.

- I pani chce być obiektywna! - Viviane odrzuciła włosy na plecy i zaśmiała się gorzko. - Już przemilczając prawdę, staje pani po jego stronie.

- Jeremy poprosił mnie, bym zabrała dzisiaj ze sobą Karolinę - przyznała Lisa.

- Czy nie ostrzegałam pani? Czy nie mówiłam wyraźnie, że jemu nie można ufać? Nie widzi pani, w jakiej on panią postawił sytuacji? Co powiedziałyby pani przełożona, gdyby to do niej dotarło?

- Viviane, proszę, jest mi naprawdę bardzo przykro...

- Niech się pani nie boi, nie będzie pani cierpieć za to, co wymyślił Jeremy. Chciałabym tylko dać pani jedną szczerą radę, zanim pożegnam się z Karoliną: niech pani się strzeże Jeremy'ego, Liso! Niech pani się w nim nie zakochuje, bo gorzko będzie pani tego żałować! Jeremy jest zimny jak lód i wyrachowany. Każdej kobiecie przynosi jedynie nieszczęście. Niech mi pani wierzy, Liso, wiem, o czym mówię. Lubię panią i chciałabym oszczędzić pani rozczarowania - powiedziała i odeszła.

Lisa patrzyła za Viviane przez łyzy. Z całej siły ścisnęła dłońmi poręcz schodów. Drżała na całym ciele. Ostrzeżenie Viviane, by nie zakochała się w Jeremym, przyszło za późno. Od dawna już czuła do niego więcej niż tylko przyjazne uczucia, a myśl, że wkrótce będzie musiała stąd odejść, była dla niej nie do zniesienia.

Bardzo mało spała tej nocy. Przez długi czas leżała i wpatrywała się w ciemność. Ale sen nie nadchodził. W końcu nie mogła już wytrzymać tego napięcia i wstała z łóżka. Wyszła na balkon i odetchnęła głęboko. Wsłuchiwała się w ciszę i stopniowo jej skołatane nerwy uspokajały się. Serce znowu biło wolniej i bardziej równomiernie.

Nagle usłyszała jakiś szelest na ścieżce przed domem. Wychyliła się przez balustradę i spojrzała w dół. Przed drzwiami garażu zobaczyła szczupłą sylwetkę Viviane. Jeremy szedł za nią.

- Jeśli rzeczywiście ją kochasz, Viviane... Jeśli twoje słowa o miłości do Karoliny nie są tylko pustą gadaniną, to nie możesz dziecku nic powiedzieć...

- Mimo odległości Lisa zauważyła, że Jeremy jest zrozpaczony.

- To, że wysłałeś dzisiaj Karolinę na cały dzień, było twoją ostatnią sztuczką, mój drogi szwagrze! Nie będziesz mi więcej grał na nosie, przysięgam! I nie dosyć, że wykiwałeś mnie w taki podstępny sposób, to jeszcze wykorzystasteś do swoich celów naiwność tej dziewczyny z opieki społecznej. Czy ty w ogóle nie masz sumienia. Jeremy Winthrop? Twój brat wstydziłby się za ciebie. Wykorzystujesz Lisę, oszukujesz Karolinę. Nie, nie mogę i nie chcę dłużej milczeć, Jeremy.



Weszli do garażu i Lisa nie słyszała już, co Jeremy odpowiedział na te oskarżenia bratowej. Po chwili usłyszała trzask drzwiczek samochodu i wycie silnika. Viviane wyjechała z garażu swoim sportowym czerwonym samochodem. Zatrzymała się i odkręciła boczną szybę. - Podaj mi choć jeden rozsądny powód, żeby nadal przemilczać prawdę przed dzieckiem!

- Walter też by tego chciał...

- Nie wciągaj jeszcze biednego Waltera do swojej podstępnej gry! Nie dam ci się zastraszyć. Jeremy! Nie ja! Walter powierzył mi Karolinę i przysięgam na Boga, że jego ostatnia wola jest dla mnie święta i spełnię ją!

- Nawet przysparzając Karolinie niepotrzebnej udręki?

- Jeśli ty i Walter od początku powiedzielibyście dziecku prawdę, to Karolina nie musiałaby teraz tak cierpieć!

- Ale nie możesz jej teraz powiedzieć, Viviane! To byłoby straszne, to byłoby...

Viviane przerwała mu głośnym śmiechem. - Oszczędź mi swoich pouczeń, ty hipokryto!

Dodała gazu i odjechała z piskiem opon. Wokół zapanowała dziwna cisza.

Lisa wróciła do pokoju. Przycisnęła dłoń do skroni i próbowała pojąć coś z tej awantury, której była mimowolnym świadkiem. I chociaż nie potrafiła odkryć istoty kłótni Viviane i Jeremy'ego, jedno było dla niej jasne. Żaden z uczestników tej całej sprawy - ani Jeremy, ani Viviane, ani małżeństwo van Home - nie był wobec niej całkiem otwarty i uczciwy. Wszyscy ukrywali coś przed nią. Jakąś rodzinną tajemnicę, która najwidoczniej dotyczyła także Karoliny i o której dziewczynka nie wiedziała. Przez chwilę Lisa czuła pokusę, by natychmiast porozmawiać z Jeremym. Jednak szybko odrzuciła tę myśl. Nie było sensu złościć" Jeremy'ego. Przypuszczalnie i tak nic by jej nie powiedział.

Położyła się do łóżka i znowu wpatrywała się w sufit. Od tej chwili będzie miała oczy i uszy otwarte i spróbuje poskładać części tej tajemniczej rodzinnej układanki. A przede wszystkim będzie odtąd podchodzić do Jeremy'ego z krytyczną nieufnością i podwyższoną czujnością. Po raz drugi nie da mu okazji, by sprawił jej ból. A sprawił jej ból, jeśli prawdą było to, co powiedziała Viviane - że ją wykorzystał. Postanowiła, że nic nie da po sobie poznać.

Po odjeździe Viviane wydawało się, jakby wszyscy odetchnęli z ulgą. Lisa znowu podjęła lekcje jazdy konnej i już zupełnie nieźle dawała sobie radę na Maisie, pani van Home krzątała się w dobrym nastroju po kuchni, nucąc

podczas pracy wesołe melodie, a Jeremy w wolnym czasie stale zajmował się Karoliną, która dzięki temu jakby rozkwitła i straciła nieco swej nieśmiałości.

Lisie ta rozluźniona atmosfera w domu wydawała się coraz bardziej sztuczna. Czuła wyraźnie stłumione napięcie za beztruską fasadą. Wyglądało to coraz bardziej na ciszę przed burzą.

Pewnego wieczoru Lisa odebrała telefon. Dzwonił Bruce.

- Cześć, moja piękna bratowo - przywitał ją. - Mam dla ciebie wiadomości. Ważne wiadomości.

- Umieram z ciekawości. No mów, Bruce! Co się wydarzyło?

- Przypominasz sobie nasze ostatnie spotkanie dziesięć dni temu? Po południu rozmawiał ze mną adwokat Marylin i byłem zupełnie przybity...

- I uciekłeś w alkohol. O tak, pamiętam.

- Gdy następnego ranka wytrzeźwiałem, przypomniałem sobie radę, której mi udzieliłaś. Znalazłem poradnię rodzinną i przeprowadziłem długą rozmowę z terapeutką. Namówiła mnie, żebym nawiązał kontakt z Marylin i poprosił ją o rozmowę...

- No i? Zgodziła się? Bruce? - Lisa mimowolnie wstrzymała oddech.

- Udało mi się ją namówić... Rozmawialiśmy w obecności terapeutki z poradnictwa rodzinnego. - Bruce zrobił wymowną pauzę. - Marylin przesunęła termin sprawy rozwodowej, Liso.

- Sądysz, że pojednanie byłoby możliwe?

- Ja... Tak dalece nie posuwałbym się jeszcze w swoich nadziejach. Ale znowu rozmawiamy ze sobą, to jest obiecujący początek. Być może... być może uda nam się zacząć jeszcze raz...

- To cudowne wiadomości, Bruce. Nawet nie wiesz, jak się cieszę!

- Zawdzięczamy to tylko tobie, Lee.

- Bzdura. Ty rozmówiłeś się z Marylin, a ona przesunęła termin sprawy rozwodowej. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Owszem, masz. Ty dałaś mi dobrą radę. I uważam, że powinienem się zrewanżować. Myślę, że najwyższa pora, żebyśmy kiedyś porozmawiali o tobie i twoim życiu. Kiedy uwolnisz się ze szponów tego Jeremy'ego Winthropa? Ten facet nie jest dostatecznie dobry dla ciebie. Liso, uwierz mi.

Lisa zaśmiała się. - Sądzę, że źle coś zrozumiałeś, Bruce. Między nim a mną niczego nie było i pewnie niczego nie będzie. Przecież znasz ustalenia, które przyjęliśmy przed moim wprowadzeniem się do jego domu.

- Ale czy on się tego trzyma? A ty? Nie chciałbym, żeby ten facet sprawił ci ból, Liso.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Dlaczego Jeremy miałby sprawić mi ból? - Lisa poczuła, że coraz trudniej jej utrzymać kontrolę nad własnym głosem.

- Krąży mnóstwo pogłosek...

- Pogłosek jakiego rodzaju?

- Nasz pan Winthrop, który normalnie jest ostrożnym inwestorem, zaczął nagle wyprzedawać akcje, które od pokoleń są w posiadaniu rodziny. W kręgach przedsiębiorców spekuluje się na temat jego motywów. On sam odmawia jakiegokolwiek informacji.

- Powody mogą być najróżniejsze. Ale co mają wspólnego ze mną interesy giełdowe Jeremy'ego? - Lisa odetchnęła głęboko. Bruce najwidoczniej nie podejrzewał jeszcze, że ona faktycznie czuje do Jeremy'ego więcej, niż by chciała.

- Może zupełnie nic, a może bardzo dużo.

- Bruce, proszę cię, nie bądź śmieszny.

- No dobrze, poczekamy, zobaczymy. Dobranoc, najdroższa bratowo. Dziękuję ci za wszystko!

- Za rzeczy zrozumiałe same przez się nie musisz mi dziękować, Bruce. Dobranoc. I życzę tobie i Marylin wszystkiego najlepszego. - Odłożyła słuchawkę. Pograżona w myślach wpatrywała się jeszcze przez chwilę w aparat, potem potrząsnęła energicznie głową. - Czy ty wszystko musisz wiedzieć, drogi szwagrze? - mruknęła do siebie.

- Podoba się pani tutaj?

Lisa drgnęła. Wybrała się na spacer i nie usłyszała, jak Jeremy nadszedł.

- Ta ukryta polanka jest moim ulubionym miejscem. Już jako dziecko przychodziłem tutaj, gdy chciałem być sam. Jak pani ją znalazła?

- Całkiem przypadkowo. Pięknie tutaj.

- Mogę? - Gdy Lisa skinęła, Jeremy usiadł przy niej na zwałonym pniu drzewa. - Idealne miejsce dla dorastającego dziecka — powiedział cicho. - Viviane mieszka w bloku w centrum San Francisco. Gdy sobie wyobrażę, że zechce tam zamknąć Karolinę...

Lisa milczała. Nawet gdy Jeremy z wahaniem objął ją ramieniem, nic nie powiedziała.

- Ten ostatni tydzień był koszmarem dla nas wszystkich. Obawiam się, że ani ja, ani Viviane nie daliśmy przykładu dobrego zachowania. Chciałbym panią przeprosić, Liso. Pewnego dnia opowiem pani, o czym Viviane i ja rozmawialiśmy całymi wieczorami.

Lisa próbowała zignorować szybsze bicie swego serca. Czyjego słowa nie oznaczają, że on też chciałby się z nią widywać, gdy sprawa powierzenia opieki zostanie uregulowana? - Karolina tak bardzo przypadła mi do serca w tym krótkim czasie, Jeremy... Mogę jedynie mieć nadzieję, że żadne z was - ani pan, ani Viviane - nie chce wziąć do siebie tego biednego dziecka z jakiegokolwiek innego powodu niż miłość. To byłoby dla mnie nie do zniesienia.

- Karolina kocha panią, Liso. - Jeremy przyciągnął ją ostrożnie do siebie. - Musimy mieć nadzieję, że stanie się to, co będzie najlepsze dla dziecka.

Lisa przytuliła się do niego. - Tak.

Pocałował ją w czoło i wstał. - Wraca pani ze mną do domu? Przywiązałem Kestrala kawałek dalej do drzewa. Paroma kostkami cukru da się go zachęcić, żeby udźwignął na swoim grzbiecie dwie osoby. - Podał jej rękę i pomógł wstać.

- Dziękuję. Chętnie pojedę z panem.

Jeremy zaprowadził ją do konia, wsiadł, a potem pochylił się, podniósł Lisę i posadził ją przed sobą. Lisa oparła się o jego szeroką pierś, czuła silne ręce wokół swojej talii i była przy nim tak pewna i bezpieczna, jak nigdy dotąd.

## ROZDZIAŁ 7

- Jest jakiś ciemny punkt w przeszłości Jeremy'ego, coś, co przemilcza przed Karoliną i także przed nami trzyma w tajemnicy. A wiedzę o tej sprawie wykorzystuje Viviane Winthrop, by mu grozić. Najwidoczniej ma Jeremy'ego w garści. - Lisa popatrzyła poważnie na Martę. - W każdym razie nie mogę dalej z czystym sumieniem zajmować się tą sprawą, Marto. Po prostu nie wiem już, na czym stoję. A poza tym jeszcze ta dziwna sprawa ze sprzedanymi pakietami akcji...

Marta skinęła z zastanowieniem. - Rzeczywiście najlepiej będzie, jak wycofasz się z tej całej historii, Liso. Zadania pracownicy socjalnej nie są równoznaczne z pracą detektywa. Sama zajmę się tym przypadkiem. Zamierzasz nadal mieszkać w tym domu?

Lisa spuściła wzrok pod badawczym spojrzeniem Marty. - Nie mogę przecież tak po prostu zostawić Karoliny na lodzie. Ja... To dziecko bardzo mi przypadło do serca, nie mogłabym jej rozczarować. Do czasu decyzji sądu chcę pozostać przy Karolinie. Potem natychmiast opuszczę ten dom.

- Pytanie tylko, czy Jeremy Winthrop zgodzi się na takie załatwienie sprawy.

- Jeremy szalenie kocha to dziecko, na swój sposób. Wie, że Karolina mnie potrzebuje. Nie sądzę, żeby mnie odesłał.

Marta popatrzyła na nią sceptycznie. - Chcesz mu powiedzieć całą prawdę?

Lisa potrząsnęła głową. - Nie, to, co usłyszałam w nocy, zachowam dla siebie. Powiem mu, że nie mogę dalej wykonywać tej pracy, bo tak bardzo lubię Karolinę, że nie będę mogła dłużej być obiektywna.

- W porządku, to brzmi dość wiarygodnie. - Marta westchnęła. - Można uważać, że masz tę sprawę z głowy.

- Jestem ci taka wdzięczna, Marto.

- Daj spokój, Liso, rozumiem twoje motywacje. Mogę sobie wyobrazić, jak się czujesz.

- Mimo to dziękuję.

- No dobra, to biorę się do roboty.

- To znaczy, że jestem wolna?

- W każdym razie w tej chwili. Nie martw się, Liso. Mam nadzieję, że wszystko potoczy się tak, jak ty byś chciała. Aha, coś mi się przypomniało. Dzwonili ze szpitala. Dzisiaj rano przywieziono tam Patsy. Znaleziono ją nieprzytomną w alejce za kościołem.

- O mój Boże, biedna Patsy. Wiadomo już coś bliżej?

- Tak, złamała rękę. Najwidoczniej zasłabła i przewróciła się. Lekarzy najbardziej martwi, że jej organizm jest wyziębiony. Prawdopodobnie całą noc leżała na zimnie. Mogłabyś zajrzeć tam i załatwić formalności?

- Naturalnie. Już idę. Biedna Patsy, tak mi przykro. Miejmy nadzieję, że lekarze szybko postawią ją na nogi.

- I pamiętaj o jej siatkach. Siostry gotowe wyrzucić je na śmietnik.

- Tego by Patsy nie zniosła. Zrobię, co w mojej mocy.

Z siatkami Patsy w bagażniku Lisa podjechała godzinę później pod drzwi agencji. Nie dopuszczono jej do chorej, bo jej stan był nadal krytyczny, i umieszczono ją na intensywnej terapii.

Lisa pospiesznie zrelacjonowała Marcie, czego dowiedziała się od lekarzy.

- Takie okropne wypadki pokazują, jak pilnie musimy znaleźć schronienie dla naszych bezdomnych przed zimą, Patsy przypuszczalnie wkrótce z tego wyjdzie, ale Bóg raczy wiedzieć, kto będzie następny i czy jakiś wypadek nie skończy się śmiercią.

W gabinecie Lisy zadzwonił telefon. - Przepraszam, Marto. - Lisa pobiegła do swojego pokoju. - Lisa Conti, słucham.

- Dzień dobry, Liso.

Lisa opadła na fotel przy biurku. - Jeremy? Tak, u mnie wszystko w porządku.

- Cieszę się. Jedna znajoma widziała panią dzisiaj rano w szpitalu, gdy rozmawiała pani z lekarzem...

- I zadzwoniła do pana?

- Nie do mnie, do Vannie. Obawiała się, że ktoś z naszej rodziny jest chory. A ja zaniepokoiłem się, gdy Vannie mi o tym powiedziała.

- Patsy Gladstone leży w szpitalu. Ta z plastikowymi siatkami, którą poznał pan niedawno u nas w agencji. Zasłabła ubiegłej nocy na ulicy i nabawiła się poważnych obrażeń.

- Och, przykro mi. Jak ona się czuje?

- Nie wygląda to dobrze. Przy jej złym stanie fizycznym ochłodzenie organizmu może być bardzo niebezpieczne.

- Jest przytomna?

- Tylko chwilami. Nie pozwolono mi do niej wejść, może jutro. To jest skandal, Jeremy. W tej okolicy aż roi się od takich jak Patsy Gladstone i nikt się o nich nie zatroszczy. Czy będą żyć, czy umrą, kogo to obchodzi? Żaden właściciel domu nie chce wynająć pomieszczeń, które moglibyśmy

wykorzystać na schronienie dla tych biedaków. Każdy tylko szuka wykrętów. Och, Jeremy, nie mogę się z tym pogodzić, że ludzie są tacy bez serca.

- Chętnie rozejrzę się wśród swoich znajomych i maklerów, z którymi mam kontakty służbowe. Może ktoś wie o jakimś odpowiednim obiekcie.

- Każda pomoc będzie dla nas cenna, Jeremy.

- Ach, byłbym zapomniał. Nie będzie mnie w domu przez trzy lub cztery dni, bo muszę wyjechać służbowo. Mam samolot do San Francisco za dwie godziny.

- Och, to niedobrze. Chciałam coś z panem omówić.

- Czy to nie może poczekać do mojego powrotu?

- Tak, chyba może.

- Na Święto Dziękczynienia mam zaproszenie do znajomych. Czy mogłaby pani towarzyszyć tam mnie i Karolinie?

- Chętnie bym się zgodziła, ale nasza gmina urządza święto dla wszystkich potrzebujących.

- Szkoda. W takim razie zobaczymy się w czwartek...

- W czwartek... tak... będzie mi pana brakować. - Lisa ugryzła się w język. Jak mogły jej się wymknąć takie zdradzieckie słowa? W słuchawce przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Mnie też będzie pani brakować, Liso - odparł w końcu Jeremy. - Czy to nie komiczne? Wcześniej cieszyłem się z każdej podróży, z każdej przerwy w codziennej monotonii. Ale teraz o wiele chętniej zostałbym w domu z Karoliną... i z panią. To musi być cudowne mieć własną rodzinę...

- Nasz wspólny czas wkrótce dobiegnie końca - powiedziała Lisa cicho.

- To tylko epizod. Niestety.

- Tak, Jeremy, epizod. Jeszcze kilka tygodni i wszystko się skończy.

- Do zobaczenia. Liso. Niech pani uważa na siebie.

- Do widzenia, Jeremy. Życzę panu przyjemnego lotu i powodzenia w interesach. - Odłożyła słuchawkę. Czy Jeremy zobaczy się w San Francisco z Viviane?

Wbrew wszelkim oczekiwaniom czas do czwartku minął Lisie błyskawicznie. Pracy w agencji było sporo, każdego wieczoru Lisa kładła się do łóżka śmiertelnie zmęczona i od razu zasypiała. Gdy w czwartek do wieczora nie miała od Jeremy'ego żadnej wiadomości, była wprawdzie zdziwiona, ale nie niepokoiła się.

Po zakończeniu pracy wsiadła z ulgą do samochodu i pojechała do Hamiltonu. Zaparkowała na tyłach domu i właśnie miała otwierać drzwi

prowadzące do jej mieszkania, gdy usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się szybko i uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- Jeremy! Już pan wrócił? Myślałam...

Jej uśmiech zamarł, gdy zobaczyła wściekłość na jego twarzy. Jeremy podszedł do niej i chwycił ją za ramię. Krzyknęła cicho: - Jeremy, to boli!

- Jak mogła pani oddać sprawę Karoliny, nie informując mnie wcześniej? - syknął ze złością, nie rozluźniając chwytu.

- Skąd... skąd pan wie...

- Od Karoliny. Przed godziną opowiedziała mi o tym.

- Karolina? Nie... nie, to niemożliwe. Skąd dziecko miałoby...

- Musiała dowiedzieć się w najgorszy sposób o tym, że ani trochę pani na niej nie zależy.

- Ale jak? Jeremy!

- Od reportera, który chciał umówić się z panią na wywiad, Liso. Pani nie było w domu, Vannie była zajęta w kuchni, więc Karolina odebrała telefon... Resztę może sobie pani chyba wyobrazić.

- Ale nie pojmuję... Jakim cudem reporter miałby się dowiedzieć o rzeczach, o których poza mną wiedziała tylko Marta Reilly...

- Zapomniała pani o Viviane. Tam, gdzie ona jest zainteresowana, nie obowiązują żadne reguły gry. Prawnicy Viviane dostają przecież wszelkie materiały w tej sprawie z pani biura, prawda?

- Tak, ale...

- Tak właśnie myślałem. - Jeremy wreszcie puścił jej ramię. - Viviane poinformowała dziennikarzy. Chce rozgłosu za wszelką cenę. Że Karolina na tym ucierpi, jest jej zupełnie obojętne.

- To są oskarżenia, których nie może pan udowodnić.

- To mnie w tym momencie nie obchodzi, Liso. W tej chwili chcę wiedzieć tylko jedno: dlaczego wycofuje się pani z tej sprawy? Nagle Karolina przestała być dla pani ważna? Czy ona i ja staliśmy się pani obojętni? Dlaczego, Liso? Co się stało?

- Wejdźmy do mojego mieszkania, Jeremy. Musimy porozmawiać. Zawahał się.

- Proszę, Jeremy.

- No dobrze, więc chodźmy.

Lisa otworzyła drzwi drżącymi palcami i wpuściła Jeremy'ego. W milczeniu weszli po schodach.



- A więc co mam powiedzieć Karolinie? - Jeremy stanął przed Lisą na środku salonu.

- Może jednak usiądziemy, Jeremy?

Jeremy podszedł bez słowa do kanapy i usiadł. Lisa zdjęła kurtkę, powiesiła ją na oparciu krzesła i spojrzała na Jeremy'ego.

- Przykro mi, że Karolina i pan musieliście się dowiedzieć w taki okropny sposób o mojej decyzji - zaczęła z wahaniem.

- Mogła pani temu zapobiec.

Lisa usiadła naprzeciw niego w fotelu. - Wiem, ale pan był nieosiągalny. A ja musiałam działać szybko...

- Musi mi to pani dokładniej wytłumaczyć.

- Zrobię to, Jeremy. Ale najpierw chciałabym pójść do Karoliny i zapewnić ją, że nadal pozostanę jej przyjaciółką i nie zamierzam potajemnie się z tego wycofać i zostawić ją na lodzie. Dziennikarzowi wyjaśnię, że oddałam tę sprawę z czysto formalnych powodów, ale mimo to niezmiennie interesuję się losem Karoliny i aż do procesu będę przy niej.

- Hmm... To rozwiązanie wydaje mi się do przyjęcia. To mogłoby uspokoić Karolinę.

- Przynajmniej w tej chwili. A teraz chciałabym z nią porozmawiać.

- Mam pani towarzyszyć?

- Myślę, że to nie będzie potrzebne. Załatwimy tę sprawę między nami kobietami. Mężczyzna tylko by przeszkadzał.

- Rozumiem. - Jeremy uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru. - W takim razie zobaczymy się później? Nadal jest mi pani winna wyjaśnienie...

Lisa skinęła. - Powiedzmy za godzinę tu u mnie. Jeśli się pan zgodzi, przygotuję jakiś skromny posiłek z zapasów, które mam.

- Przyjmuję tę ofertę. - Wstał. - I... przepraszam panią za moją szorstkość, Liso. Karolina płakała, a ja nie potrafiłem jej pocieszyć...

- Już dobrze, Jeremy. Rozumiem pana, - Lisa odprowadziła go do drzwi. - Do zobaczenia później.

- Za godzinę będę z powrotem.

Lisa popatrzyła za nim z ulgą. Nie wyrzucił jej od razu za drzwi. Odetchnęła głęboko. Jeśli teraz jeszcze porozmawia z Karoliną i przekona ją, że nie zawiedzie jej zaufania i nie zostawi jej, to ciężar spadnie jej z serca.

Nadzieje Lisy spełniły się. Karolina słuchała jej uważnie i ze zrozumieniem, a gdy w końcu Lisa objęła ją i spytała, czy wszystko jest już w porządku, mała przytuliła się do niej i pocałowała ją zawstydzona.

Lisa z uśmiechem wróciła na swoje poddasze. Otworzyła lodówkę i spojrzała na skromne zapasy. Nie da się z tego chyba wyczarować imponującej kolacji z kilku dań, będzie musiała trochę poimprovizować.

Może przyrządzić Jeremy'emu omlet z serem, grzybami, zielonym pieprzem, cebulą i pomidorami, do tego mizerię z koperkiem. Zabrała się ochoczo do przygotowywania kolacji.

- Jeszcze kubek gorącej czekolady? - spytała Lisa Jeremy'ego, który siedział obok niej na kanapie, już zupełnie odprężony.

Spojrzał na nią i wziął ją za rękę. - Nie, dziękuję, Liso. Jest już po północy, a oboje mamy przed sobą pracowity dzień. Myślę, że powinniśmy się już pożegnać na dzisiaj. To był cudowny wieczór, Liso. Dziękuję pani za wszystko.

- I już nie jest pan na mnie zły, że wycofałam się z pańskiej sprawy? Potrząsnął głową. - Nie, Liso, rozumiem pani powody. Szkoda wprawdzie, że pani uczucie do Karoliny i... przyjaźń ze mną tak silnie wpłynęły na pani obiektywizm, ale rozumiem, że chce pani pozostać uczciwa w stosunku do Viviane. Myślę, że z tego punktu widzenia pani decyzja jest także najlepszym wyjściem w interesie Karoliny. - Uścisnął jej rękę.

- Och, Jeremy, miałam nadzieję, że pan to zrozumie. Dziękuję. Mimowolnie odwzajemniła jego uścisk.

- Liso... - Jeremy podniósł jej dłoń i przycisnął ją do swoich ust - pani jest taka bezinteresowna, dobra... czy pani czasami myśli także o sobie?

Lisa łagodnie cofnęła rękę. - Moje działania nie zawsze są całkowicie bezinteresowne, Jeremy - wyznała zaczerwieniona. - Na przykład chętnie zostałabym jeszcze trochę w pańskim domu, bo tak bardzo podoba mi się to mieszkanko na mansardzie. A poza tym... poza tym czuję się tu akceptowana, doceniana i... kochana. Nie jestem już samotna... To tak... to tak..., jakbym należała do rodziny.

- Cieszę się, że podoba się pani tutaj. ~ Uśmiechnął się. A co z pani rodziną? Widuje ją pani chyba od czasu do czasu?

- Tak, naturalnie, widuję od czasu do czasu moją matkę, spotykam się z bratem i jego rodziną... Także rodzina Dominika stale się o mnie troszczy, a jego matka traktuje mnie jak córkę - odparła Lisa. O Boże, jak mogła mówić Jeremy'emu o samotności i miłości? Zdradzenie się przed nim było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła!

- A Bruce? Jaki jest jego stosunek do pani, Liso?

Pytanie Jeremy'ego przywróciło ją do rzeczywistości. - Wydaje mi się... - zawahał się - wydaje mi się, że jesteście ze sobą bardzo blisko.

Lisa spojrzała mu prosto w twarz. - Bruce i ja jesteśmy jak rodzeństwo. Nie ukrywamy przed sobą niczego. On wie, że może mi zaufać, ja wiem, że mam w nim oparcie. Ale nie ma między nami żadnych romantycznych uczuć.

- Może z pani strony nie, Liso.

Lisa zaśmiała się. - I z jego też. Bruce jest bardzo nieszczęśliwy. Walczy o swoje małżeństwo i rozpaczliwie próbuje pojednać się z żoną. Myślę, że to stawia go poza wszelkimi podejrzeniami.

- Przepraszam, że wtrąciłem się w sprawy, które nie powinny mnie obchodzić, Liso. Myślałem tylko... Bruce jest tak bardzo podobny do pani zmarłego męża. Więc pomyślałem... Proszę mi wybaczyć, Liso.

Lisa wzruszyła ramionami. - Zewnętrznie bracia byli podobni do siebie jak dwie krople wody, ale zdecydowanie różnili się charakterami. Dominik był cichym i poważnym człowiekiem, pełnym miłości dla wszystkich. Bruce jest inny. U niego widać jeszcze gwałtowny temperament południowca. Co nie znaczy, że dlatego nie miałby być godny miłości.

- Życzę mu, żeby odzyskał miłość żony. - Jeremy spojrzał Lisie w oczy. - Jest jeszcze coś, o co chciałem panią zapytać, zanim się pożegnám. Uważam, że po tym całym zdenerwowaniu w ostatnim okresie wszyscy potrzebujemy trochę odprężenia - Karolina, państwo van Home. ja i pani. Liso, chciałbym panią zaprosić na tydzień urlopu na Florydzie. Chcę się tam spotkać z kilkoma przyjaciółmi i pograć trochę w polo. Co nie znaczy, że nie zostanie mi czasu dla Karoliny i pani. Co pani powie na moją propozycję? Miałaby pani ochotę na mały urlop?

Wszystko w Lisie rwało się, by powiedzieć „tak”. - Ja... naprawdę nie wiem, Jeremy. Zastanowię się - odparła jednak.

- Nad czym tu się zastanawiać? Była pani na Florydzie? Lisa potrząsnęła głową. - Nie. Ale...

- W takim razie nie rozumiem, jak może się pani wahać. Będzie pani miała własny domek i proszę sobie tylko wyobrazić, jakie to wspaniałe uczucie w środku stycznia leżeć na słońcu pod palmami i kąpać się w morzu.

- Czy ludzie nie będą się zastanawiać, kim jestem? Czy nie wyciągną błędnych wniosków? Nie boi się pan plotek, Jeremy?

- A tam.' Ludzie mogą sobie myśleć, co chcą. Poza tym będą także państwo van Home w charakterze przyzwoitek, jeśli tak chce pani na to spojrzeć. Naturalnie ja pokryję wszystkie koszty.

- Nie, na to nie mogę się zgodzić. W żadnym wypadku!

- Dlaczego nie, Liso? Karolina potrzebuje trochę odprężenia bez konieczności rezygnowania z towarzystwa osób, które kocha. Czy jest jakiś lepszy pomysł niż wspólny wyjazd na kilka dni?

Lisa z uśmiechem potrząsnęła głową. - Chyba na wszystko ma pan logiczne wyjaśnienie, Jeremy.

- Więc pojedzie pani z nami?

- Pod jednym warunkiem: sama pokryję koszty swojego pobytu.

- Dlaczego jest pani taka uparta?

Lisa zaśmiała się. - Rzeczywiście potrzebuję urlopu, Jeremy. Od dwóch lat nie miałam ani jednego wolnego dnia. Czemu więc miałabym odrzucać pańską ofertę? Pojadę z wami, ale zapłacę za siebie. Zgoda?

Jeremy podniósł ręce w obronnym geście. - Z takim uporem nie wygram, - Zanim zdążyła się odsunąć, pochylił się i pocałował ją w usta.

Lisa wstrzymała oddech. Czowała, jak serce jej wali. Oparła się o jego pierś.

- Liso - szepnął i przycisnął ją do siebie. - Liso... znowu ją pocałował.

- Jeremy, nie.., - Głos uwiązł jej w gardle, mimowolnie objęła jego szyję. Czowała szybkie bicie jego serca, jego ciepło, ciało, które było tak blisko... I ogarnęło ją pożądanie. Namiętnie odwzajemniła pocałunek i nie broniła się, gdy Jeremy objął dłońmi jej piersi.

Jeremy jęknął. Jego pocałunek stał się bardziej natarczywy. Nie przestawał też pieścić jej piersi.

Lisa poczuła, że robi jej się słabo. - Jeremy - mruknęła. - Co ty wyprawiasz? Och, Jeremy... - Objęła go mocno i zapomniała o całym świecie. Zbyt długo do tego tęskniła.

Jeremy pociągnął ją łagodnie na kanapę i ostrożnie rozpiął jej bluzkę. Całował miękką skórę jej szyi i ramion, a potem sięgnął do haftek koronkowego biustonosza i rozpiął je.

- Jesteś taka piękna, kochanie, taka cudowna - szepnął, gładząc czubkami palców różowe koniuszki jej piersi.

Lisa wygięła się w łuk. Przyciągnęła jego głowę do swoich piersi, a gdy wargi Jeremy'ego dotknęły ich, zamknęła oczy i jęknęła z rozkoszy.

Gdzieś w domu trzasnęły drzwi. Lisa przestraszyła się. Otworzyła oczy i wydało jej się, jakby obudziła się ze snu. Czowała dłonie i usta Jeremy'ego na swoim ciele i nagle uświadomiła sobie, co się dzieje. - Nie - szepnęła. - Nie, Jeremy... nie wolno nam tego robić.

Odsunęła go od siebie i usiadła. Drżącymi palcami pociągnęła bluzkę i zasłoniła nią piersi. Nie miała odwagi spojrzeć Jeremyemu w twarz.

- Kochanie? - Jeremy spojrzał na Lisę pytająco. - Przecież oboje tego chcemy.

- Nie, Jeremy... proszę, zostaw... niech pan zostawi mnie teraz samą. Nie wolno nam... Proszę, Jeremy.

- Liso. my... - przerwał, wstał i skierował się w stronę drzwi. Lisa poszła za nim. Nogi miała jak z waty, widziała wszystko jak przez mgłę. Zachwiała się i oparła o ścianę.

- Dobranoc, Liso - powiedział Jeremy głucho, otworzył drzwi i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Lisa stała przez chwilę bez ruchu, oparta o ścianę. Serce nadal waliło jej jak szalone, nadal czuła na ustach i piersiach jego pocałunki. Łzy potoczyły się jej po policzkach, ale nawet tego nie zauważyła.

RS

## ROZDZIAŁ 8

Lisa stała przed białym domkiem, w którym miała mieszkać przez kilka najbliższych dni. Nadal nie mogła uwierzyć, że z lodowatego zimna Bostonu przeniosła się w tropiki Florydy.

Popatrzyła na wysokie palmy, przez które przeświecały promienie słońca. Miała wrażenie, jakby znalazła się w zupełnie innym świecie. Od czasu do czasu miała ochotę uszczypnąć się, by sprawdzić, czy to na pewno nie sen.

Z lotniska jechali taksówką wzdłuż wspaniałych piaszczystych plaż i malowniczo położonych wiosek i miasteczek. Gdy dotarli na teren klubu, przesiedli się do jeepa i kierowca powiózł ich do zarezerwowanych dla nich domków. Po drodze minęli tereny do gry w polo, stajnie i otoczony parkiem basen.

Lisa weszła do swojego domku. Urządzony był w chłodnych, niebieskawo-białych odcieniach. Białe meble z rattanu tworzyły wspaniały kontrast z niebiesko-szarymi dywanami i zasłonami z surowego jedwabiu. W utrzymanej w turkusowych tonach łazience znajdowała się wpuszczona w podłogę wanna z urządzeniem do masażu wodnego. Za lustrzanymi drzwiami szafy Lisa odkryła miękkie, białe ręczniki kąpielowe, płaszcz kąpielowy oraz mnóstwo flaszeczek i pudełeczek z emblematami znanych europejskich firm kosmetycznych.

W sypialni z szerokim łóżkiem były szklane przesuwane drzwi prowadzące na taras, gdzie stał leżak i dwa fotele z żółtymi poduszkami.

Lisa westchnęła uszczęśliwiona. Miała wrażenie, jakby dobra wróżka przeniosła ją do krainy baśni.

W pokoju zadzwonił cicho telefon. Lisa podniosła słuchawkę.

- I jak, Liso? Podoba się pani na Florydzie?

- Jeszcze pan pyta, Jeremy! Myślę, że mogłabym tu spędzić całe życie.

- Miło mi to słyszeć. Karolina uparła się, żeby pójść na basen. Miałaby pani ochotę dołączyć do nas, powiedzmy, za jakieś pół godziny? W restauracji przy basenie można coś zjeść bez konieczności przebierania się. Jeśli się pani zgadza, to przyjdziemy po panią.

- Zgadzam się.

Lisa odłożyła słuchawkę i rozpakowała walizkę. Na samym spodzie znalazła zielony kostium kąpielowy. Włożyła go i stanęła przed lustrem. Nie była taka szczupła jak Viviane, ale nie musiała się wstydzić swojej figury.

Za oknem usłyszała samochód, chwyciła więc pospiesznie płaszcz kąpielowy, ręcznik i buteleczkę balsamu do opalania.

- Wspaniale, Liso, że idziesz z nami! Wyglądasz świetnie!

- Karolina była pełna zachwytu. - Nie uważasz, że Lisa wygląda wspaniale, wujku Jeremy?

Jeremy uśmiechnął się. - Tak, Karolinko, też tak uważam - powiedział poważnie. - Ona jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam.

Lisa zaczerwieniła się. Pospiesznie usiadła na tylnym siedzeniu jeepa, obok Karoliny. - Gdzie są państwo van Home? - spytała, by zmienić temat.

- Zasłużyli, sobie na trochę wakacji. Dałem im wolne na resztę tygodnia, bo chcą tu odwiedzić krewnych.

- Teraz jest tak, jakbyśmy byli prawdziwą małą rodziną - powiedziała Karolina.

Lisa znowu się zaczerwieniła.

- A w środę wybierzemy się na wycieczkę do Disneylandu. Przenocujemy w Orlando i wrócimy dopiero w czwartek, gdy będzie mecz polo

- dodała dziewczynka.

- Naprawdę? - Lisa spojrzała zaskoczona najpierw na Karolinę, a potem na Jeremy'ego. - Orlando i Disneyland? Kiedy narodził się ten pomysł?

- Przed chwilą. - Jeremy zaśmiał się bez troski. - Wynająłem już samochód.

Lisa milczała. Czuła się trochę przytłoczona planami Jeremy'ego. w które włączył ją bez pytania. Ale z drugiej strony... Dlaczego miałyby psuć Karolinie przyjemność? Jeśli dziecko chociaż na chwilę zapomni o swoim niepewnym losie, to cel podróży zostanie osiągnięty.

- Tam! Tam jest basen! ~ Karolina wysiadła, zanim Jeremy zdążył zgasić silnik, i pobiegła w stronę basenu.

Jeremy i Lisa poszli za nią śmiejąc się. A gdy kładli swoje ręczniki na leżakach, Karolina już pluskała się w wodzie półokrągłego basenu dla dzieci.

- Woda jest całkiem ciepła! - zawołała i zanurzyła się po ramiona. - Chodź, Liso! Chodź, wujku Jeremy!

- Zaraz, Karolinko, miej szacunek dla starszego człowieka. Musisz przyznać, że Lisa i ja nie jesteśmy już podlotkami.

Karolina zachichotała. - Wyglądacie oboje na strasznie starych i sflaczałych!

Lisa i Jeremy spojrzeli na siebie i jak na komendę wskoczyli do wody. Po długiej kąpiel i lunchu przy barze Lisa i Jeremy rozsiedli się na leżakach nad brzegiem basenu.

- Coś panu powiem, panie Winthrop. - Lisa przeciągnęła się z rozkoszą na leżaku. - Jakkolwiek bardzo mi się podoba na Florydzie i w żadnym razie nie chciałabym zrezygnować z tego urlopu, to jednak mam uczucie, że mnie pan nabrał.

- Ja panią nabrałem? - Jeremy spojrział na nią niewinnie. - Jak to?

- Po pierwsze dał pan wolne państwu van Home, którzy jakoby mieli nam towarzyszyć na każdym kroku, a po drugie najwidoczniej ma pan zamiar spędzać z Karoliną i ze mną znacznie więcej czasu, niż pierwotnie mi pan mówił. Gdzie są ci wszyscy pańscy koledzy, z którymi miał się pan tu spotkać?

Jeremy spojrział na nią. - Obawiam się, że przejrzała pani moją grę. Musiałem panią trochę oszukać, bo bałem się, że w przeciwnym razie odrzuci pani moją propozycję. - Zaśmiał się. - A teraz znalazła się pani w pułapce.

Lisa odetchnęła głęboko. - Nie można panu ufać - mruknęła i znowu zamknęła oczy.

Jeremy dotknął! czubkami palców jej policzka. - Dobrze, że my dwoje się rozumiemy.

Disneyland nie zawiódł ich oczekiwań. Lisa, Jeremy i Karolina spędzili tam wiele godzin, nie nudząc się ani przez moment. Bagażnik był do samej góry wyładowany różnymi pamiątkami i zabawkami, które Jeremy kupował Karolinie, gdy tylko na chwilę się czymś zainteresowała.

Lisa nie potrafiła odmówić sobie kupienia białej jedwabnej sukni z dopasowaną górą i rozkloszowaną spódnicą do kostek. Gdy wyszła z przymierzami, by przejrzeć się w lustrze, Jeremy stał obok i patrzył na nią z podziwem.

- W tej sukni wzbudzi pani w piątek sensację - zauważył, gdy szli do kasy.

- W piątek? Jak to?

- Bo w piątek robimy sobie oboje wolny wieczór, który zaczniemy kolacją w stylowej restauracji, a potem pójdziemy do teatru. Karoliną zajmie się opiekunka wynajęta w klubie. Wszystko już zorganizowałem.

- Nie pytając mnie o zdanie?

- Przy niespodziankach i prezentach niemożliwe jest pytanie o zdanie zainteresowanej osoby. - Jeremy uśmiechnął się przebiegle.

Lisa nie mogła dłużej protestować. A jeśli miała być szczerą, musiała przyznać, że cieszy się na ten wieczór z Jeremym, choć jednocześnie oczekuje go z mieszanymi uczuciami.



Jeremy ani słowem nie nawiązał do ostatnich wydarzeń na jej mansardzie. Zachowywał się tak, jakby nic się między nimi nie wydarzyło. A jednak Lisie wydawało się, że on też nie zapomniał o tamtym wieczorze, wręcz przeciwnie...

Nadszedł piątek i dzień upłynął Lisie bardzo szybko. Późnym popołudniem zaprowadziła Karolinę do opiekunki - miłej, młodej studentki psychologii - z którą Karolina od razu się zaprzyjaźniła. Lisa wróciła do swojego domku, wzięła kąpiel i włożyła nową suknię. Gdy poprawiała fryzurę, usłyszała ciche pukanie do drzwi.

- Mogę wejść? - spytał Jeremy.

- Proszę. - Lisa wyszła mu naprzeciw z uśmiechem.

- Jest pani moją baśniową wróżką. - Jeremy zamknął za sobą drzwi, podszedł do Lisy i pocałował ją lekko w czoło.

- Dobry wieczór, piękny książę. - Lisa cofnęła się o krok. Wołała nie być tak blisko niego. Spuściła wzrok i zaśmiała się. - Jeremy, zapomniał pan włożyć skarpetki! - Patrzyła rozbawiona na pasek opalanej skóry nad brzegiem butów Jeremy'ego.

- Ależ nie, Liso! Nie włożyłem ich specjalnie. Jesteśmy na Florydzie. Tu obowiązują inne prawa niż u nas w Bostonie. Tu mężczyźni mogą też pokazywać nagie ciało.

- Do smokingu i jedwabnej koszuli? - Lisa potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Zapewniam panią, że mówię prawdę. Nie będzie się pani musiała przy mnie wstydić.

- No, miejmy nadzieję. - Wzięła go pod rękę i poszli do samochodu, czarnego porsche, wynajętego przez Jeremy'ego na tę okazję. - Żeby potem nie musiała żałować, że się zgodziłam.

- Na pewno nie. - Jeremy otworzył drzwi samochodu i pomógł Lisie wsiąść.

I rzeczywiście Lisa ani przez moment nie żałowała, że przyjęła zaproszenie Jeremy'ego. Pojechali najpierw do Miami Beach, do restauracji, której specjalnością były potrawy kuchni latynoamerykańskiej. Ku zdziwieniu Jeremy'ego Lisa swobodnie rozmawiała z kelnerem po hiszpańsku.

- Skąd pani zna tak dobrze hiszpański?

- Skończyłam kurs, gdy zaczęłam pracę w opiece społecznej. Większość naszych klientów jest pochodzenia hiszpańskiego lub portugalskiego. Jak miałabym się porozumiewać z tymi ludźmi, nie znając ich języka?

Jeremy przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu. - Podziwiam panią, Liso. Pani życie ma jasno wytyczoną linię. Nigdy nie próbuje pani umknąć odpowiedzialności. To mi imponuje.

Lisa zaczerwieniła się. - Mam coś do odpokutowania, Jeremy - oświadczyła cicho. - I biorę ludzi takimi, jacy są, ze wszystkimi ich słabościami i błędami, bo wiem, że sama też na pewno nie jestem doskonała.

Jeremy wypił łyk wina. - A jak się miewa nasza chora Patsy Gladstone? - spytał.

- Byłam u niej przed naszym wyjazdem. Już trochę doszła do siebie. - Zaśmiała się. - Jej język w każdym razie funkcjonuje bez zarzutu. Pokłóciła się już ze wszystkimi lekarzami i pielęgniarkami. Ale nie ma na razie co myśleć o zwolnieniu. Zamierzają umieścić ją w domu opieki, przeciwko czemu ona naturalnie protestuje. Obawia się, że wyląduje gdzieś daleko od swojej ukochanej okolicy.

- Ale tam miałyby dobrze, być może lepiej niż kiedykolwiek w swoim życiu.

- Mimo to byłaby nieszczęśliwa. Starych drzew się nie przesadza.

- Coś w tym jest. - Jeremy wziął ją za rękę. - Niech pani powie, Liso, jeśli sąd przyzna mi opiekę, mogłaby pani... mogłaby pani zdecydować się zostać u nas?

Lisa spuściła głowę. - Nie - szepnęła - Moje zadanie będzie wtedy zakończone.

Jeremy milczał przez chwilę. Lisa nie miała odwagi podnieść wzroku. Dopiero gdy zamówił dwie kawy, podniosła głowę. Ich spojrzenia spotkały się. Jeremy uśmiechnął się i Lisa nieśmiało odwzajemniła jego uśmiech.

Ukoronowaniem wieczoru był spektakl West Side Story. Lisa była zachwycona akcją i porywającymi melodiami.

- Och, Jeremy, to było cudowne! Dziękuję!

Jeremy spojrział na nią z uśmiechem. - Cieszę się, że jest pani ze mną, Liso - powiedział cicho i przyciągnął ją łagodnie do siebie. - A teraz, moja baśniowa wróżko, uprowadzę panią jeszcze do jednego z tych luksusowych hoteli, które wyrastają tu jak grzyby po deszczu.

Chwilę później Lisa podziwiała nowoczesną konstrukcję z chromu i szkła, która tworzyła kopułę nad salą taneczną. Cały ten wieczór wydawał jej się wspaniałym snem. Wtuliła się w ramiona Jeremy'ego i kołysała się z nim w takt łagodnej, nastrojowej muzyki. Miała wrażenie, że szybuje w chmurach. Nie zauważała innych par na parkiecie. Widziała tylko Jeremy'ego.

Wstawał już świt, gdy udali się w drogę powrotną. Podczas jazdy Lisa siedziała w milczeniu obok Jeremy'ego. Od czasu do czasu zerkła na niego nieśmiało.

- Jesteśmy na miejscu, moja piękna baśniowa wróżko. - Jeremy zatrzymał samochód i wysiadł. Obszedł auto, otworzył drzwi po stronie pasażera i pomógł Lisie wysiąść.

Wsparta na jego ramieniu przeszła kilka kroków do wejścia do jej domku. Wyjęła klucz z torebki, otworzyła drzwi i spojrzała na Jeremiego.

- Dziękuję, Jeremy. Dziękuję i dobranoc.

Jeremy pociągnął ją delikatnie w swoje ramiona. - Nie miałbym nic przeciwko pocałunkowi na dobranoc. Lisa wstrzymała oddech. W milczeniu podniosła głowę.

- Liso. - Pocałował ją czule, jednak gdy wyczuł jej podniecenie, jego pocałunek stał się bardziej gwałtowny. Przesunął dłonie wzdłuż jej ciała. Gdy objął jej biodra, jęknął i przycisnął ją do siebie. Zdecydowanie wciągnął ją do domku i zamknął drzwi.

- Co ty wyprawiasz, Jeremy? - szepnęła Lisa.

- To, za czym obydwójce od dawna tęsknimy. - Bez trudu wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i łagodnie położył na łóżku.

Lisa nie opierała się, gdy rozpiął jej suknię i zsunął cienki materiał z ramion. Jeremy odetchnął głęboko, gdy jego oczom odsłoniły się jej pełne piersi.

- O mój Boże, jakie cudowne - szepnął. - Och, Liso. Moja baśniowa wróżko. - Pochylił się nad nią i obsypał jej twarz, szyję i piersi niezliczonymi gorącymi pocałunkami.

- Jeremy. - Gdy dotknął ustami jej piersi i zaczął czule pieścić ich koniuszki, zapomniała o wszelkich wątpliwościach. Wplotła palce w jego włosy i przycisnęła jego głowę do siebie. - Tak - szepnęła. - Tak, Jeremy!

Jeremy zsunął z niej do końca suknię i zdjął jej bieliznę. Oparł się na łokciu i patrzył czule na jej nagie ciało.

Lisa wyciągnęła do niego ramiona. - Chodź - jęknęła podniecona. - Chodź do mnie, Jeremy.

- Zaraz, kochanie. Jeszcze tylko chwileczkę. - Wstał i rozebrał się. Lisa patrzyła na niego. Podziwiała jego szerokie ramiona, mocno owłosiony tors, szczupłą talię, płaski brzuch i długie nogi. I nagle uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie Jeremy'ego. Jak tęskni za jego objęciami.

- Chciałbym patrzeć na ciebie godzinami, kochanie. Jesteś taka piękna, taka cudowna... - Jeremy stał koło łóżka i pieścił ją czułymi spojrzeniami-

- Jeremy? Ja... nie chciałabym, żebyś tylko... patrzył na mnie. - Lisa zarumieniła się mimo woli.

Jeremy uśmiechnął się. - Sądysz, że jestem taki silny, że mógłbym to znieść? - Położył się kolo niej. Jego dłonie gładziły czule jej rozpaloną skórę.

- Pragnę cię - szepnął jej do ucha.

Lisa oplótła ramionami jego szyję i przycisnęła się namiętnie do niego. Rozpalił się w niej żar, gdy poczuła podniecenie Jeremy'ego.

- Liso, Liso... - jęknął. Jego palce gładziły czule wewnętrzną stronę jej ud. - Nie mogę dłużej czekać, Liso. - Położył się na niej.

- Kochaj mnie, Jeremy - westchnęła. - Teraz!

Jeremy pocałował ją i wszedł w nią powoli. I chociaż poruszał się w niej bardzo ostrożnie, Lisa już po chwili miała wrażenie, że zaraz eksploduje. - Już nie mogę - jęknęła bez tchu - Jeremy, proszę...

- Tak, Liso. Tak! - Jego ruchy były coraz szybsze. - Liso!

Lisa krzyknęła. Ogniste pierścienie migwały jej pod zamkniętymi powiekami. Rozszalała burza pociągnęła ją z całą siłą. Drząc na całym ciele, przycisnęła się do niego. - Jeremy!

- Kochanie. - Głowa Jeremy'ego opadła na ramię Lisy.

Lisa pogładziła jego zmierzwione włosy. Jej oddech stopniowo się uspokajał. - To było cudowne - szepnęła i pocałowała Jeremy'ego w ramię.

## ROZDZIAŁ 9

- Przejrzałaś już pocztę na swoim biurku? - Marta Reilly wetknęła głowę przez drzwi i pomachała do Lisy wesoło. - Cześć, urlopowiczko, witamy w naszych skromnych progach. No, jak było?

- Cudownie, Marto. Floryda jest po prostu fantastyczna. Pływaliśmy, opalaliśmy się i włożyliśmy się godzinami po plaży... Byliśmy w Disneylandzie, w Orlando, w Miami w teatrze... Ach, Marto, nie jestem ci w stanie opisać, jak było pięknie. - Roześmiała się. - No, proszę. Paplam z zachwytem jak Karolina.

- Cieszę się, że trochę oderwałaś się od codziennego kieratu, Liso. Potrzebowałaś tego. Ale teraz poważnie. Przeglądałaś już pocztę? Myślę, że znajdziesz tam coś interesującego... Napijemy się później razem herbaty, dobrze? - Nie czekając na odpowiedź, wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Lisa niezdecydowanie przyciągnęła do siebie stertę listów. Brała jedną kopertę po drugiej, sprawdzała nadawcę i odkładała list na bok. Były to prawie wyłącznie urzędowe pisma, jakie wpływały do nich codziennie. Nagle zdziwiła się. W rękę trzymała list z Pittsfield. Zmarszczyła czoło, otworzyła kopertę, wyjęła pismo i przeczytała.

- Marto! - Bez pukania wpadła do gabinetu przełożonej. - Wyobraź sobie, Marto, oferują mi posadę w Pittsfield. Stanowisko porównywalne z twoim tutaj.

Marta uśmiechnęła się ukradkiem. - To naprawdę krzyż pański z tymi pracownikami. Jak są źli, to latami nie można się ich pozbyć. Ale gdy się ma szczęście złapać dobrego pracownika, to zaraz wyfruwa z gniazda.

Dopiero teraz Lisa uświadomiła sobie, że Marta może nie podzielać jej radości. - Ale ja nie wiem, czy...

- Nie musisz się spieszyć ze zgodą ani z odmową. Zastanów się spokojnie i podejmij decyzję. Do końca miesiąca są jeszcze trzy tygodnie, w tym czasie może się dużo wydarzyć.

Lisa skinęła. - Masz rację.

Chociaż Lisa nie rozmawiała o tej ofercie z nikim oprócz Marty, myślała o niej cały dzień. Może otwiera się przed nią szansa zerwania z przeszłością i nadzieja na lepszą przyszłość. Może uda jej się zapomnieć także Jeremy'ego... i Karolinę, i ten przepiękny dom w Hamiltonie. Była przecież pewna tego, że kiedyś będzie musiała to wszystko zostawić.

Od czasu gdy wróciła z Florydy i zabrała się znowu do pracy, rosły jej wątpliwości, czy nie popełniła błędu śpiąc z Jeremym. Od powrotu miał dla niej niewiele czasu. Interesy tak go pochłaniały, że czasem nie pojawiał się nawet na posiłkach i Lisa nie widywała go całymi dniami. Naturalnie rozumiała, że muszą zachowywać pozory, że nie mogą zdradzić żadnym słowem ani gestem tego, co między nimi zaszło. Ale w duchu miała nadzieję, że Jeremy przynajmniej od czasu do czasu odwiedzi ją na mansardzie.

Tymczasem on jakby świadomie jej unikał. Czy żałował tego, co się stało? A może potraktował noc z Lisą jako wakacyjną przygodę?

Lisa była głęboko rozczarowana i niepewna. Nie wiedziała, jak ma się zachować w takiej "sytuacji".

Pewnego zimowego wieczoru, gdy czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem, położyła się na kanapie. Przed nią na stole stał kubek z gorącą herbatą. Nagle usłyszała ciche pukanie do drzwi. Drgnęła. Czy to może być Jeremy?

- Kto tam? - usiadła i spojrzała na ciemny prostokąt drzwi.

- Mogę wejść na chwilę? - zza drzwi rzeczywiście zabrzmiał głos Jeremy'ego.

- Drzwi są otwarte - odparła z wysiłkiem. Jeremy wszedł, trzymając ręce za plecami.

- Dobry wieczór, moja piękna baśniowa wróżko.

Lisa nie była w stanie poruszyć się ani powiedzieć cokolwiek. Siedziała tylko i patrzyła na niego. Jak bardzo tęskniła do tego, żeby Jeremy ją odwiedził. Ale on nie przychodził. A teraz nagle stoi przed nią i zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Ale dlaczego przyszedł? Aby ostatecznie się z nią pożegnać? Czy naprawdę mógłby być taki okropny? Zacisnęła usta. Nie, Liso, nie będziesz płakać, rozkazała sobie w myślach.

Nie spuszczać Lisy z oczu, Jeremy powoli wyciągnął ręce zza pleców. Trzymał w nich tuzin pięknych, czerwonych róż. W milczeniu wręczył Lisie bukiet.

- Jako przeprosiny za moje odpychające zachowanie - powiedział cicho. - Wiem, że sprawiłem ci ból. Wybacz mi, Liso.

- Czy to pożegnalny prezent, Jeremy? - Głos Lisy drżał. - Chcesz mi za pomocą tych pięknych kwiatów dać do zrozumienia, że to koniec, że nasz epizod, jak to kiedyś nazwałeś, kończy się?

Jeremy spuścił głowę. - Nie, Liso, chciałem ci powiedzieć, jak bardzo cię lubię i podziwiam...

- Jak bardzo mnie podziwiasz? - Lisa zaśmiała się gorzko. - Pragnę czego innego, nie podziwu, Jeremy.

- A jednak muszę cię podziwiać. Jesteś najlepszą, najbardziej bezinteresowną kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Nie potrzebujesz pieniędzy, żeby być szczęśliwa. Pomagasz ludziom nie pytając, kim są, skąd pochodzą i czy ci za to dziękują. W tak naturalny sposób czynisz dobro...

- Przestań, Jeremy! Przestań wreszcie! - Lisa zasłoniła sobie uszy.

- Gorzkie doświadczenie nauczyło mnie, że bogactwo nie oznacza automatycznie szczęścia. Za zrozumienie tego zapłaciłam wysoką cenę. Biednego Dominika nie poślubiłam z miłości, tylko dla jego pieniędzy! Bo obiecywałam sobie u jego boku przyjemne, beztrudne życie w luksusie! Oszukałam co do swoich uczuć wspaniałego, zakochanego we mnie po uszy młodego mężczyznę! On mnie szczerze kochał i nie oczekiwał ode mnie niczego więcej, tylko żebym go tak samo kochała. Uwierz mi, Jeremy, gorzko żałowałam mojego bezwzględnego egoizmu.

- Zamilkła wyczerpana. Jeremy także przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

- I dlatego podarowałaś spadek? - spytał potem cicho.

Lisa drgnęła. - Skąd... skąd to wiesz?

- Od Bruce'a.

- Bruce... przez cały czas wiedział? - Poczuli nagle, że gardło ma jak zasznurowane.

- Odnalazłem go w jego biurze. Chciałem, musiałem dowiedzieć się o tobie więcej, Liso. Bruce przypuszczał, co cię skłoniło do oddania spadku. Podziwia cię za to. I lubi cię, Liso. Lubi cię bardziej, niż myślisz.

- Och, Jeremy. - Łzy popłynęły po twarzy Lisy. - Rozpaczliwie próbuję wynagrodzić innym ludziom to, co zrobiłam Dominikowi.

Jeremy położył róże na stole i usiadł koło Lisy na kanapie. Ostrożnie wziął ją w ramiona. - Bruce jest przekonany, że Dominik był z tobą szczęśliwy. Byłaś dla niego dobrą, czułą i wierną żoną. Gdyby moja żona miała te cechy, też byłbym szczęśliwy.

- Twoja żona? Ty... byłeś... żonaty?

Jeremy osuszył swoją chusteczką łzy na jej policzkach. — Ja też popełniłem błąd. Liso. Zakochałem się, szaleńczo zakochałem w cudownej dziewczynie pełnej temperamentu, energii i ochoty do życia. Jeannie całkowicie mnie pochłonęła. Była taka inna niż ja. Brała wszystko tak lekko. Cieszyła się chwilą. Promieniował od niej fascynujący urok i przepadłem z kretelem. Pragnąłem jej i pobraliśmy się. Zbyt pochopnie, jak się wkrótce

okazało. Nasze wspólne życie zmieniło się w totalną katastrofę. Jeannie nie nadawała się do małżeństwa. Chciała nadal być wolna jak ptak, wolna także ode mnie. - Jeremy milczał przez chwilę. - Ale ja ją kochałem... aż do jej tragicznego końca.

- Umarła?

- Tak. Rozbiła się samochodem o drzewo. Lisa ścisnęła rękę Jeremy'ego.

Sprawa miała wrażenie, jakby zapomniał o obecności Lisy, bo gdy mówił dalej, przenikał ją wzrokiem na wskroś. ~ Potwornie się przedtem pokłóciliśmy. Padły twarde słowa. Powiedziałem Jeannie rzeczy, których później żałowałem. W złości złapała kluczyki w środku nocy i odjechała. Drogi były obludzone... godzinę później otrzymałem wiadomość o jej śmierci...

Lisa położyła głowę na jego ramieniu. - Znam to poczucie winy i żalu, Jeremy - szepnęła.

Jeremy zaczerpnął głęboko powietrza. - Byłem nie tylko winien życia żony. Musiałem też drżeć o życie naszego nie narodzonego dziecka, Liso. Uwierź mi, przeszedłem przez wszelkie piekło wyrzutów sumienia. Modliłem się i przeklinałem, oskarżałem się, krzyczałem i płakałem.

- Masz dziecko, Jeremy? - Gdy skinął tylko w milczeniu, Lisa zrozumiała. - Czy to... czy to Karolina?

Na chwilę zamknął oczy. - Jeannie była w siódmym miesiącu ciąży, gdy wydarzyło się to nieszczęście. Dniami i nocami czuwałem przy łóżeczku Karoliny, aż lekarze zapewnili mnie, że nic jej nie grozi, i odesłali mnie do domu.

- Ale skoro jesteś prawdziwym ojcem Karoliny... nie rozumiem...

- Zabrakło mi siły, by wychowywać to dziecko, dziecko mojej zmarłej żony. Na wspomnienie tamtej strasznej nocy byłem chory. Dlatego poprosiłem Waltera o pomoc. On i Sandra od dawna z utęsknieniem pragnęli dziecka, ale mój brat był bezpłodny. I chociaż nigdy tego nie okazywali, bardzo cierpieli z powodu braku dziecka. Na moją błagalną prośbę adoptowali Karolinę, zresztą wbrew woli rodziny, zarówno mojej, jak i Jeannie. Umowa adopcyjna zawierała na moje życzenie zapis, że Karolina nigdy nie może się dowiedzieć, kto jest jej prawdziwym ojcem.

- O mój Boże, Jeremy, co wyście zrobili?

Jeremy popatrzył na nią w milczeniu. - Uwierź mi, Liso, kocham to dziecko nad życie. Do niespodziewanej śmierci Sandry sądziłem, że postąpiłem słusznie. Wiedziałem, że Karolina jest kochana i akceptowana. Ale wtedy pojawiła się Viviane... Walter na łożu śmierci zdradził jej naszą tajemnicę.



Teraz ona próbuje mnie zniszczyć. Chce powiedzieć Karolinie prawdę i w ten sposób wzbudzić w niej nienawiść do mnie.

- Czy twoja prawniczka o tym wie? Przed sądem naturalne pokrewieństwo mogłoby zadziałać na twoją korzyść.

- Czy w ten sposób nie oszukałbym Karoliny po raz drugi? Nie, Liso, ona może dowiedzieć się prawdy, dopiero gdy jej zaufanie do mnie będzie niepodważalne, gdy pokocha mnie dla mnie samego. Wtedy może się dowiedzieć, kto jest jej ojcem i dlaczego tak długo milczałem.

Lisa spojrzała na niego zatroskana. - Boję się, Jeremy. Boję się o ciebie i Karolinę i współczuję Viviane.

- Ona odrzuciła moją ofertę. Chciałem przepisać na nią połowę całego mojego majątku, jeśli zrzeknie się roszczeń do opieki nad Karoliną. Roześmiała mi się w twarz.

- Ona też kocha Karolinę, Jeremy.

Jeremy pochylił głowę. - Obawiam się, że byłem wobec niej niesprawiedliwy.

- Dlaczego wszyscy traktują mnie jak niemowlę? - Karolina tupnęła nogą i spojrzała na Lisę wyzywająco. - Wujek Jeremy jedzie w „delegację” do San Francisco, Viviane wymyka się w środku nocy z domu, a ja od nikogo nie mogę się niczego dowiedzieć. A przecież chodzi o mnie, o moją przyszłość. I nikt nie uważa za stosowne zapytać mnie o zdanie.

- Nikt nie traktuje cię jak niemowlę, Karolino. Wujek Jeremy i Viviane bardzo cię kochają i każde z nich chciałoby mieć cię u siebie.

- Próbują mnie kupić.

Lisa westchnęła. - Możliwe, że czasami faktycznie tak to wygląda, Karolino. Ale uwierz mi, oboje byliby bardzo smutni i nieszczęśliwi, gdyby cię stracili. Oboje bardzo boją się sprawy sądowej, której termin nieubłaganie się zbliża.

- Żeby już było po wszystkim... - Łzy potoczyły się po policzkach Karoliny.

- Oni mnie okłamują, Liso! Oboje! Czuję to doskonale. Ja... Ja już nie wytrzymam, Liso! Nienawidzę ich obojga! - Dziewczynka wybiegła szlochając.

Lisa usłyszała, jak trzasnęły za nią drzwi. Klucz został przekręcony w zamku. Zawahała się na moment. Potem potrząsnęła głową. Co miałyby powiedzieć temu dziecku? Nie miała prawa powiedzieć prawdy.

- Liso! Liso, nie wie pani, gdzie jest Karolina? Widziała ją pani gdzieś? - Kilka godzin później zrozpaczona pani van Home wybiegła Lisie naprzeciw.

- Nie. Ale zaraz jest pora kolacji, pewnie siedzi już u Jeremy'ego w gabinecie.

- Nie, Liso, nie ma jej u mnie ani nigdzie w domu. Przeszukaliśmy wszystko. - Jeremy stanął w drzwiach i nerwowo przeczesał palcami włosy. - Gdzie ona może być?

- Może w stajni? U Bo...

Jeremy popatrzył na nią ze zgrozą. - Jest ciemno jak diabli, a na zewnątrz szaleje burza, nie mogę sobie wyobrazić... - Przerwał. - Pójdę sprawdzić.

Lisa i pani van Home wymieniły zatrwożone spojrzenia.

Drzwi otworzyły się z impetem. - Bo nie ma w boksie... - szepnął Jeremy, wkładając podbitą futrem kurtkę. - Osiodłam Kestrę i jadę na poszukiwanie. Proszę natychmiast zawiadomić policję i Viviane.

- Jadę z panem - odezwała się Lisa.

- Nie! Ty... - Nagle przypomniał sobie, że nie są sami. - Pani nie będzie narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Pojadę sam!

- Przywykłam do tego, że sama odpowiadam za własne czyny. Jadę z panem!

- W porządku. Nie będziemy tracić cennego czasu na kłótnie. Idziemy!

- Ja zawiadomię policję. - Pani van Home pospieszyła do telefonu.

- Dziękuję, Vannie.

Jeremy biegł w stronę stajni. Lisa podążała za nim, wkładając w biegu tweedową kurtkę, którą Jeremy przyniósł jej przed wyjściem z garderoby. Szybko osiodłali konie i ruszyli w ciemność.

- Dlaczego ona uciekła?

- Ze strachu. Boi się przyszłości. Karolina nienawidzi i kocha jednocześnie. Pogardza Viviane i tobą, ale równie mocno was kocha. Nie chciałyby stracić żadnego z was.

Maisie potknęła się. Z trudem walczyła o równowagę.

- Ściągnij wodze, Liso! Musimy zrobić chwilę przerwy naszej starej przyjaciółce.

Słowa Jeremy'ego docierały do Lisy z trudem. Zrozumiała jednak i zatrzymała konia. Jeremy również się zatrzymał.

Usłyszeli ciche rżenie. - Czyżbyś ty też był wyczerpany? Nie wygłupiaj się! - Jeremy poklepał konia po szyi.

- To nie był Kestrel... ani Maisie... - Lisa słuchała w napięciu, - Tam— znowu... w krzakach przed nami... To jest Bo! Jeremy! To Bo!

Kucyk zarżał cicho i wyszedł im naprzeciw. Jego grzywa była pokryta lodem. Wodze zwisały luźno wokół jego szyi.

Jeremy i Lisa zsiadli z koni. Związali wszystkie konie razem za nogi i przywiązali je do gęstych krzaków.

- O Boże, spraw, żebyśmy nie przyszli za późno! - modliła się rozpaczliwie Lisa. - Daj nam znak swojej łaski. Błagam cię, Boże, daj nam szansę.

- Liso! Znalazłem ją! Żyje! - Jeremy wyszedł z zarośli. Na rękach niósł nieprzytomną Karolinę.

Lisa podbiegła do Kestrala i zdjęła koc umocowany pod siodłem. Owinęli Karolinę w koc i wsiedli.

W milczeniu jechali z powrotem, Jeremy trzymał córkę w objęciach. Lisa jedną ręką prowadziła kucyka, który chętnie podążył za klaczą.

Przed domem stała już karetka. Lekarz wziął od Jeremy'ego Karolinę i położył ją na noszach. Jeremy w milczeniu przycupnął obok.

Lisa pojechała za nimi mercedesem Jeremy'ego. Wycie syreny przenikało ją do szpiku kości. Pierwotna ulga, gdy Jeremy wyszedł z krzaków z dzieckiem na rękach, zniknęła z każdą minutą i zmieniała się w obawę.

Jeremy wyszedł jej naprzeciw, gdy po chwili biegła korytarzem szpitala. - Co z nią?

- Nie wiem, nie dopuszczają mnie do niej - Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

Podeszła do nich Viviane. - Jeremy... - Szloch zdusił dalsze jej słowa. Usiadła i chwyciła rękę Lisy. Lisa czuła, jak Viviane drży. Siedzieli w milczeniu i czekali.

Na końcu korytarza otworzyły się wahadłowe drzwi i podszedł do nich lekarz. - Nazywam się Gołdberg. Zająłem się państwa małą uciekinierką. Ta młoda dama już czuje się lepiej. Mogą państwo do niej wejść.

Viviane, Lisa i Jeremy zerwali się jednocześnie z krzeseł i słuchali dalszych informacji lekarza.

- Przez tydzień mała będzie musiała jeszcze zostać u nas. Zdaje się, że spadła z konia, ale nie pamięta szczegółów. Wie tylko, że jechała na kucyku w ciemności w czasie burzy śnieżnej.

Jeremy z trudem powstrzymywał łzy. - Dziękuję, doktorze - powiedział, ściskając lekarzowi dłoń.

Weszli do słabo oświetlonego pokoju, gdzie leżała Karolina. Młoda pielęgniarka czuwająca przy łóżku dziewczynki wstała. - Ona teraz śpi - szepnęła. - Proszę jej nie budzić.

Na palcach zbliżyli się do łóżka i patrzyli na dziewczynkę, której pierś podnosiła się i opadała równomiernie w spokojnym oddechu.

- Spij dobrze, moja mała Karolinko - szepnęła Viviane. Jeremy ostrożnie pogładził blade policzki dziewczynki. Lisa patrzyła na Viviane i Jeremy'ego i już nie była w stanie bronić się przed łzami. Pospiesznie wyszła z pokoju.

Gdy Lisa odwiedziła Karolinę po południu następnego dnia, mała przywitała ją wesołym uśmiechem. - Cześć, Liso. Wujek Jeremy odwiedził mnie już dzisiaj rano, a Viviane była w południe. To naprawdę podniecające leżeć tu i gdy drzwi się otwierają zgadywać, kto przyszedł!

- No, widzę, że chyba już zupełnie doszłaś do siebie. - Lisa objęła dziewczynkę serdecznie.

- Głowa jeszcze trochę mnie boli. - Karolina nagle popatrzyła na nią poważnie. - Słyszałam was wczoraj wieczorem, gdy staliście przy moim łóżku. Viviane płakała, a wujek Jeremy głaskał mnie. Chciałam się do was odezwać, Liso. Chciałam wam powiedzieć, że mi przykro. To było głupie z mojej strony tak uciec. Chciałam na was popatrzeć. Ale nie dałam rady. Ruszałam wargami, ale z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Oczu też nie mogłam otworzyć, powieki były ciężkie jak ołów. Ale czułam, że mnie kochacie: Viviane, wujek Jeremy i ty, każde na swój sposób. - Karolina oparła się o poduszki i uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

## ROZDZIAŁ 10

Nadszedł dzień, w którym miała rozstrzygnąć się przyszłość Karoliny. Jeremy, mający koło siebie śmiertelnie bladą Karolinę, a z drugiej strony bardzo atrakcyjną prawniczkę, z trudem ukrywał swoje napięcie. Naprzeciw niego siedziała Viviane, również zdenerwowana i blada, w towarzystwie swojego adwokata, sprawiającego wrażenie energicznego. Na sali oprócz państwa van Home i kilku znajomych Winthropów było niewiele osób, jeśli pominąć przedstawicieli prasy siedzących w pierwszym rzędzie.

Lisa weszła razem z Martą. Ona też była zdenerwowana i udało jej się zmusić zaledwie do słabego uśmiechu, gdy Karolina pomachała do niej na powitanie.

Czuła się okropnie. Wydawało jej się, jakby nagle stałą się obca, jakby los tej dziewczynki i jej ojca zupełnie jej nie dotyczył. Wstała na wezwanie woźnego, obserwowała wchodzących sędziów i słuchała, jak adwokat Viviane jako pierwszy zabrał głos.

- Moja klientka, pani Viviane Monteith-Winthrop, wdowa po panu Walterze Winthropie i macocha jego obecnej tutaj córki Karoliny, wnosi roszczenie o przyznanie jej prawnej opieki nad tym dzieckiem. Pani Monteith-Winthrop od swego ślubu przykładnie troszczyła się o dziewczynkę i traktowała ją, jakby była jej własnym dzieckiem. Zgodnie z ostatnią wolą jej zmarłego męża chciałaby adoptować to dziecko. Na potwierdzenie swoich roszczeń...

Lisa wysłuchiwała mowy do końca, nie dotarło jednak do niej w rzeczywistości ani słowo. Widziała, jak Jeremy nachyla się do swojej prawniczki i coś jej szepcze. Doris Fontaine zmarszczyła ze zdziwieniem czoło i zrobiła parę pospiesznych notatek.

Prawnik Viviane zakończył swoje wywody, uśmiechnął się z widoczną pewnością siebie i usiadł na swoim miejscu.

Przewodniczący składu sędziowskiego podziękował mu i zwrócił się do prawniczki Jeremy'ego, by wypowiedziała się na temat stanowiska swojego klienta.

- Mój klient chciałby wprowadzić kilka zmian do swojego oświadczenia. Wolałby, żebym poczekała ze swoim wystąpieniem, aż usłyszymy stanowisko agencji opieki społecznej.

- Przychyłam się do tego wniosku. Proszę, pani Reilly, może nam pani odczytać swój raport?

Przyzwyczajona od dawna do wystąpień tego rodzaju, Marta odczytała spokojnym głosem wyniki obserwacji Lisy i swoich.

- Dziękuję, na razie nie mam dalszych pytań. Panno Fontaine, kolej na panią.

- Mój klient, pan Jeremy Winthrop, brat zmarłego pana Waltera Winthropa i człowiek o nieposzlakowanej opinii, po tragicznej śmierci swego brata przejął bezinteresownie odpowiedzialność za Karolinę, małoletnią córkę zmarłego...

- Nie, proszę nie mówić dalej - przerwał jej Jeremy. - Jest kilka spraw dotyczących mojego... pokrewieństwa z Karoliną, które dotąd przemilczałem...

W ławkach dla widzów podniósł się szum, dziennikarze wstali z miejsc.

- Proszę obie strony i ich prawników do mojego gabinetu - zarządził szorstko sędzia i opuścił salę.

- Co tu się do diabła dzieje? - szepnęła Marta.

Lisie wydało się, jakby obudziła się ze snu. - Chyba wiem, co Jeremy zamierza. Ale wolałabym to zatrzymać dla siebie, bo nie jestem pewna, czy moje przypuszczenia są słuszne.

Marta skinęła. Siedziały obok siebie w milczeniu i czekały.

W końcu drzwi się otworzyły i sędzia wszedł ponownie na salę. Za nim szli Jeremy i Viviane oraz ich prawnicy.

- Karolino Anno - sędzia zwrócił się z ciepłym uśmiechem do dziewczynki. - Jesteś godnym zazdrości dzieckiem. Siedzą tu dwie osoby, które cię kochają, które chciałyby ci stworzyć dom i z rodzicielską troską i odpowiedzialnością towarzyszyć ci w twojej drodze w dorosłe życie...

Karolina pochyliła głowę zmieszana. - Wiem, Wysoki Sądzie - mruknęła.

- Nigdy o tym nie zapominaj. - Sędzia przerwał i prześliznął się wzrokiem po sali. - Sądowi nigdy nie jest łatwo podjąć decyzję w takich przypadkach, jak ten. Po obu stronach dostrzegamy szczerą wysiłki i widzimy powody, które mogłyby być decydujące na korzyść danej strony. Ale po uwzględnieniu ostatnich otrzymanych przeze mnie informacji, których nie chciałbym jednak podawać publicznie, nie pozostaje mi żaden wybór. Sąd powierza sprawowanie opieki panu Jeremy'emu Winthropowi.

Na sali podniósł się gwar. Dziennikarze chcieli od razu umówić się na wywiady z Jeremym i Viviane.

Lisa spojrzała na Jeremy'ego, który ze zrozumiałą radością objął Karolinę, oraz na jego przeciwniczkę. Siedziała przybita na swoim miejscu i patrzyła

bezsilnie na to, co działo się naprzeciw niej. Lisa poczuła ogromne współczucie dla tej kobiety. Najchętniej podbiegłaby do Viviane, by ją pocieszyć. Jak z oddali docierały do niej końcowe słowa sędziego.

- Pan Jeremy Winthrop zobowiązuje się umożliwić pani Viviane Monteith-Winthrop prawo do regularnych odwiedzin i włączać ją w wychowanie dziecka.

Wszyscy wstali. - Ja już uciekam - szepnęła Marta do Lisy. - W biurze czeka na mnie jeszcze sterta nie załatwionej roboty. Jedziesz ze mną? Liso... źle się czujesz?

Lisa westchnęła. - Nie martw się, ze mną wszystko w porządku. Czuję się tylko taka pusta, wypalona... Wyczekiwany termin rozprawy minął. Wyrok wypadł tak, jak sobie w duchu życzyłam, ale nie cieszę się ani nie jestem smutna. Nie czuję niczego. Absolutnie niczego, Marto. - Potrząsnęła głową. - Sądzę, że trochę świeżego powietrza dobrze by mi teraz zrobiło. Wrócę do biura pieszo.

- W porządku. W takim razie zobaczymy się później. - Marta pożegnała Lisę i wyszła.

Jeremy i Karolina stali otoczeni dziennikarzami i znajomymi. Oboje byli odwróceny do niej plecami, więc Lisa mogła przemknąć się koło nich niepostrzeżenie. Za zakrętem korytarza zatrzymała się przerażona. Viviane stała oparta o ścianę i szlochała rozpaczliwie. Lisa wyciągnęła rękę i pogładziła ją po ramieniu. - Przykro mi - powiedziała cicho.

Viviane podniosła głowę. - Straciłam córkę Waltera... A Jeremy mną pogardza. On mnie nienawidzi, Liso. I zrobi wszystko, żeby trzymać Karolinę z daleka ode mnie.

- Nie, Viviane. Jeremy bardzo kochał Waltera. Będzie czczył jego pamięć i nie wykluczy z życia Karoliny kobiety, którą jego brat kochał i której powierzył dziecko. Nawet jeśli ujawni teraz swoje ojcostwo.

Z oddali słychać było kroki. Viviane pospiesznie otarła łzy z twarzy. Jeremy podszedł do nich. - Liso, jak mam ci dziękować za wszystko, co zrobiłaś dla mnie i dla Karoliny?

- Nie musisz mi dziękować, Jeremy. Zrobiłam to z przyjemnością.

- No, drogi szwagrze, cieszysz się na widok przegranej przeciwniczki? - spytała Viviane sarkastycznie.

- Viviane, czy możesz mi wybaczyć moje okropne zachowanie wobec ciebie? Użyłem cię do wyładowania własnego poczucia winy i nie

zauważyłem przy tym, jak bardzo cię zraniłem i jak mało zwracałem uwagę na twój ból. Czy sądzisz, że możemy zapomnieć ten koszmar?

Viviane popatrzyła najpierw na Lisę, a potem na Jeremy'ego. - Toto nie będzie łatwe, Jeremy. Ale dlaczego nie mielibyśmy spróbować? Karolina nam pomoże.

- Viviane, dziękuję ci. - Jeremy objął bratową. - A dzisiaj wieczorem uczymy wspólnie...

Lisa poczuła się nagle zbędna. Odeszła niezauważona i wybiegła z budynku sądu.

- Liso, nasze modlitwy zostały wysłuchane. - Pastor March podszedł do niej rozpromieniony i wręczył jej kopertę. - Niech pani czyta.

Szanowny pastorze March!

Chciałbym, żeby wymieniona na czeku suma została potraktowana jako darowizna na zakup i renowację odpowiedniego budynku z przeznaczeniem na schronienie dla bezdomnych mieszkańców dzielnicy Lynn. Jest to moje podziękowanie dla Lisy Marii Conti za jej dobroć i gorące serce, jakie okazała mnie i mojej rodzinie.

Z wyrazami szacunku, Jeremy Winthrop

Lisa wyjęła z koperty czek i spojrzała na sumę. Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia. - Paul, to... to cud.

Pastor skinął. - Drogi Pana są cudowne. Czy nie tak napisano w Biblii?

Te słowa jeszcze dźwięczały Lisie w uszach, gdy późnym wieczorem kończyła swój dobrowolny dyżur w gminie kościelnej. Ale dokąd zaprowadziła ją jej droga? Czy ma przyjąć ofertę z Ptttsfield? Ale czyż nie tu jest jej miejsce? Czy mogłaby zostawić Patsy i tych wszystkich ludzi bez pracy, pożywienia i dachu nad głową? Czyż nie jest jej obowiązkiem pomagać tym, którzy oczekują jej pomocy?

Myślami powędrowała do Jeremy'ego i Karoliny. Ojciec i córka są wreszcie razem i urządzają sobie wspólne życie, w którym także Viviane będzie miała swój udział. Zadanie Lisy w domu Winthropów zostało wypełnione. Nie było powodu, dla którego miałaby tam wracać.

Przygnębiona pojechała wieczorem do swojego pustego mieszkania w mieście. Czowała się obco w zimnych pomieszczeniach, które od tygodni nie były zamieszkałe. Jej tęsknota za Jeremym i Karoliną rosła z każdą sekundą. Nie masz tam czego szukać, upomniała się w myślach. Ale jak miała zapomnieć o tym, co nadało jej życiu sens?



By nie ulec pokusie pojechania do Hamiltonu, wybrała numer Jeremy'ego i poinformowała panią van Home, że w najbliższych dniach jest zajęta i na razie nie przyjedzie.

W nocy prawie nie spała. Niespokojnie przewracała się na łóżku i próbowała uporządkować myśli. Ale daremnie.

By oderwać się od przykrych myśli, rzuciła się w następnych dniach w wir pracy. I stawała się coraz spokojniejsza. Ból, który czuła, gdy myślała o Jeremym i Karolinie, powoli ustępował i nauczyła się znowu być sama.

Jak w każdą niedzielę, gdy w sali plebanii wydawano jedzenie dla potrzebujących, Lisa stała na swoim miejscu i rozdzielala porcje między ludzi, którzy stali w kolejce. Po pewnym czasie kolejka oczekujących skróciła się i Lisa chciała właśnie trochę odpocząć, gdy podszedł do niej mężczyzna w podartym ubraniu i wręczył jej swój talerz.

- Woli pan ciasto z jabłkami czy ze śliwkami na deser? - spytała, nie podnosząc wzroku.

Mężczyzna mruknął coś niewyraźnie.

- Przepraszam, ale nie zrozumiałam. - Lisa podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć głosu.

- Dobry wieczór, panienko. Chętnie wezmę po małej porcji obu, jeśli to możliwe - powiedział z uśmiechem.

- Jeremy! - Wreszcie wyrwała się z odrętwienia. - Jak ty wyglądasz? I co... co tu robisz?

- Chciałem cię zaprosić, żebyś zjadła ze mną. Pracowałam trzy godziny bez przerwy, więc z czystym sumieniem możesz sobie zrobić chwilę odpoczynku.

- Chcesz mi powiedzieć, że obserwujesz mnie już od trzech godzin? Gdzie się przez cały czas ukrywałeś? - Nagle zrobiło się jej lekko na duszy.

- Tam, z tyłu, w najdalszym kącie. Wspaniałe sobie porozmawiałem i znalazłem mnóstwo nowych przyjaciół, jak sądzę.

- Liso, potrzebuję czyste łyżeczki do budyniu. - Mała Maria stanęła przy niej ze swoją tacą. - Szkoda, że Karolina już z panią nie przychodzi. - Chwyciła tacę, na której Lisa położyła jej czyste łyżeczki, i wróciła do stołów dzieci.

Jeremy popatrzył za nią. - Co za miła dziewczynka - powiedział cicho.

- No i co, nie uda się panu oderwać Lisy od pracy? - Pastor March skinął Jeremy'emu. - Niech pan poczeka, zaraz sobie z tym poradzimy. Wszedł za

ładę i rozwiązał tasiemki fartucha Lisy. - Zmiana! Niech pani stąd znika, ale już! - Ze śmiechem odsunął Lisę na bok i wręczył jej talerz z jedzeniem.

Lisa w milczeniu poszła za Jeremym do małego stolika na uboczu. Usiedli i zaczęli jeść.

- Nie chcesz wiedzieć, co u Karoliny? - Jeremy w końcu przerwał milczenie.

- Karolina wie teraz, do kogo należy, i wie też, że oboje - ty i Viviane - ją kochacie. Myślę, że dobrze zniesie prawdę, gdy pewnego dnia się jej dowie - odparła Lisa i podniosła głowę. W tym samym momencie Jeremy podniósł głowę i ich spojrzenia spotkały się.

- Dlaczego tak uciekłaś ode mnie na łeb na szyję, Liso? - spytał spokojnie Jeremy. - Zniknęłaś z naszego życia bez jednego słowa, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia. Dlaczego, Liso?

- Nie tak głośno, Jeremy, proszę. Ludzie już na nas patrzą.

- To jest mi obojętne. Chcę odpowiedzi. Chcę wiedzieć, dlaczego nie wracasz do domu, gdzie Karolina na ciebie czeka i... gdzie ja na ciebie czekam.

- Ależ sprawa Winthropów jest zakończona... Nie mam już u was czego szukać.

- Tak uważasz? I nie możesz sobie wyobrazić, że ja... że ja cię kocham?

Lisa osłupiała. Czuła, że brakuje jej tchu. - Jeremy... nie nabijaj się ze mnie.

Wziął ją za rękę. - Chodź do domu, Liso! Błagam cię!

- Ale...

- Kocham cię, Liso. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo. Nie odrzucaj mnie! Zostań moją żoną!

Lisie zrobiło się ciemno przed oczami. Serce waliło jej jak szalone. - A ja sądziłam, że twoja wspaniałomyślna darowizna była pomyślana jako pożegnanie... i podziękowanie, bo pomogłam ci otrzymać opiekę nad Karoliną?

- Jako pożegnanie i podziękowanie? - Jeremy potrząsnął z niedowierzaniem głową. - List wręczyłem pastorowi na trzy dni przed rozprawą. Niezależnie od wyroku. Chciałem wesprzeć twoją pracę, bo cię kocham, Liso. I będę cię kochać zawsze.

- Gdybyż to była prawda, Jeremy...

- Czy w przeciwnym razie siedziałbym tutaj? Liso, mówię poważnie. Proszę, zostań moją żoną i matką Karoliny.

Lisa nabrała powietrza. - Kocham cię, Jeremy - szepnęła. - I kocham naszą dzielną małą Karolinę.

- Kamień spadł mi z serca. - Jeremy zerwał się z krzesła, podniósł Lisę na rękę i kręcił się z nią przez chwilę w koło. - Pobierzmy się wkrótce. Tak szybko, jak to możliwe. Należymy do siebie, na zawsze. - I nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia innych, przycisnął ją do siebie i pocałował.

RS